Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 2 lutego 1936 r. Nr. 5



ŚNIEŻNA BAJKA

W dalekim cichym zakątku parku,
Szron wyczarował baśń śnieżno-białą—
W milczącym parku, gdzie słodkiej ciszy
Nic nie zakłóci na chwilkę małą.

W zadumę, spokój i srebrne puchy,
Ubrały się wierzb płaczących sploty
I stoją rzędem, jakby symbole
Czyjejś zastygłej w smutku tęsknoty.

Czasem, na drogi samotnej skręcie,
Ktoś się ukaże, chwilę przystanie
I znowu odejdzie z jasną pamięcią
Bajki zaklętej w zadumę białą.

MARJA ZEMMLERÓWNA

MARJAN BRONISŁAWSKI

5)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

Długo medytował, aż wreszcie przyszedł na pomysł. Za kilkadziesiąt dolarów kupił serję, prawie bezwartościowych akcyj jakiejś kopalni miedzi i złożył za pokwitowaniem w banku. Zaopatrzony w to pokwitowanie udał się do Holzera i prosto z mostu zażądał pożyczki pięciu tysięcy.

— Chcesz pożyczyć pięć tysięcy? — zapytał zdziwiony teść. — Przecież masz całe dwadzieścia do dyspozycji. Skoro ci potrzeba, nie krępuj się i bierz z posagu Grety.

— Nie, ojcze — odpowiedział. — Posag Grety jest ulokowany w taki sposób, że w przeciągu kilku lat musi się wielokrotnie pomnożyć. Zresztą postanowiłem w żadnym wypadku nie ruszać tych pieniędzy. To posag i majątek przyszłych twoich wnuków i wnuczek...

Holzerowi oczy zaszły łzami z radości.

— Wnuków, powiadasz? Dajże Boże, żeby jak najprędzej pierwszy się zjawił, bo tęskno nam starym do dzieci naszej Gretchen, A co do majątku dla nich, nie bój się, znajdzie się coś i dla nich po naszej śmierci...

— A jednak posagu Grety nie ruszę — przerwał mu Majk. — Zresztą niech ojciec popatrzy — dodał wydobywając pokwitowanie banku na dziesięć sztuk akcyj kopalnianych. — Kupiłem za całe dwadzieścia tysięcy te papiery i już zaraz poszły znacznie w górę. Skoro wartość ich dojdzie do stu tysięcy, sprzedam i całe pieniądze ulokuję w banku dla przyszłych naszych dzieci. Czyż nie szkodaby było pozbywać się tak korzystnego interesu?

Stary, nie znając się na akcjach, nie wiedział, że papiery, o których Harden mówił, wypuszczone początkowo po sto dolarów, przedstawiały wartość zaledwie kilkudziesięciu centów za sztukę. Wystarczyło mu, że widział pokwitowanie na dwieście sztuk.

— No, dobrze, skoro już tak postanowiłeś. Ale powiedz mi, na co potrzeba ci tak gwałtownie pięciu tysięcy?

— Chcę kupić dom, w którym mieści się mój interes — odparł Harden bez namysłu. — Mam sposobność nabycia go bardzo tanio, ale za gotówkę. Część pieniędzy mam, a o resztę chciałem poprosić ojca, ale jeżeli...

— No, no... — przerwał Holzer. — Nie myśl znów, że stary Holzer nie dba o wasze szczęście. Dostaniesz te pieniądze, ale pamiętaj, jak nie będzie wnuczka zanim rok upłynie, zażądam zwrotu i procentów!

Poczciwy stary tak ślepo wierzył Hardenowi, że zaraz na drugi dzień udał się z nim do banku i podniósłszy pięć tysięcy, wręczył mu całą sumę.

Nie poszedł Harden tego dnia do klubu na karty. Była to sobota, — dzień, w którym miał oddać długi Burskiemu i Gerberowi.

Wieczorem w obecności Burskiego oddał Gerberowi należność i podarłszy pisemne zobowiązanie, miał już oddawać Burskiemu owe dwa tysiące, gdy pijany Gerber wywołał sprzeczkę z Burskim. W szynkowni nikogo nie było, oprócz gospodarza, Burskiego i Gerbera, gdyż obydwaj bufetowi poszli już do domu. Harden wyszedł na chwilę do kuchni, gdy nagle posłyszał strzał rewolwerowy.

Wpadłszy do sali, natychmiast domyślił się co się stało. W pierwszej chwili przypuszczał, że Burski zabił Gerbera, ale zobaczywszy ranę, odrazu poznał, że życiu ranionego nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Kula strzaskała obojczyk i wyszła nie naruszywszy płuc. Patrząc na obficie broczącą krew, już miał zamiar opatrzeć Gerbera i uspokoić przerażonego Burskiego, gdy wzrok jego padł na rulon banknotów, wystający z kieszeni marynarki nieprzytomnego rannego.

Myśli jak błyskawice poczęły przelatywać przez głowę szynkarza. W przeciągu kilku zaledwie sekund uknuł szatański plan pozbycia się Burskiego, jako wierzyciela, i zabrania Gerberowi pieniędzy, które przed pół godziną mu wręczył.

— Najwidoczniej szczęście mi sprzyja — myślał. — Ten bałwan nie wie, że Gerber jest tylko lekko raniony... Powiem mu, że zamordował człowieka i musi uciekać. Zlęknie się krzesła elektrycznego i zniknie razem z moim kwitem na dwa tysiące. Gerberowi zaś wezmę pieniądze, a jak przyjdzie do przytomności, powiem, że zabrał je Burski. W ten sposób długi będę miał pospłacane i pieniądze zostaną w kieszeni.

Tak też postąpił. Gdy wyprawił Burskiego i polecił mu czekać w porcie, ostrożnie wyjął pieniądze z kieszeni Gerbera, schował je w kasie, kasę zamknął i zaczął cucić rannego. Niewiele było z tem zachodu. Po przemyciu rany zimną wodą Gerber otworzył oczy i chciał powstać. Rana jednak sprawiała mu dotkliwy ból, więc wsparł się tylko jedną ręką i rozglądając się dokoła, spytał Hardena co się stało.

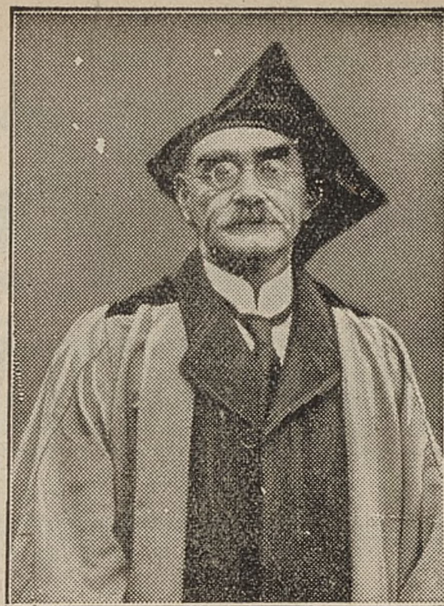
— Nie wiem — odparł szynkarz. — Byłem w kuchni i usłyszałem strzał. Widocznie Burski strzelił do ciebie, bo jak tu wbiegłem, już go nie było, tylko na podłodze leżał rewolwer...

— Aha... tak... — przypominał sobie Gerber. — Pijany byłem i uderzyłem go tak, że zwalił się na podłogę. Tak, tak... widziałem jak chwycił rewolwer i strzelił. Szczęście, że tylko na tem się skończyło — mówił dalej — ale i tak porachuje się z nim.

Nagle tknęło go coś, bo nie zważając na silny ból w ramieniu, sięgnął do kieszeni marynarki.

— Pieniądze! — zawołał. — Przecież miałem w tej kieszeni trzy tysiące, które mi oddałeś... Niema ich...

— Szukaj tylko dobrze — przerwał mu gospodarz. — Nie przypuszczam, żeby Burski zabrał je. Przecież tylko chwila upłynęła od strzału, gdy tu wszedłem, a jego już nie było.



Onegdaj zmarł w Londynie w szpitalu Middelesex sławny angielski pisarz Rudyard Kipling.

Gerber patrzał bacznie na twarz Hardena. Znał jego chciwość i podstępny charakter i wiedział, że Majk przed niczem się nie cofnie, gdy chodzi o zdobycie pieniędzy. Znał także i Burskiego i w głowie mu się nie mieściło, żeby tamten okradł kogoś i uciekł. Nic jednak nie powiedział, tylko raz jeszcze przetrząsł kieszenie i machnął ręką.

— Niema. Sam wiem, że nigdzie nie wychodziłem, więc zgubić nie mogłem...

Harden wzruszył ramionami.

— Nie moja wina. Poprostu Burski okradł cię i drapnął. Taki niby spokojny i uczciwy... Szkoda, bo ładny grosz, a kto go tam znajdzie! Pewno myśli, że cię zabił i boi się krzesełka...

Gerber zamyślił się. Przyszło mu do głowy, że Burski ma dziecko, które nad życie kocha, i nie zechce opuścić Haneczki.

— Słuchaj — rzekł do Hardena. — Jeżeli Burski wziął mi pieniądze, można będzie je odebrać. Przecież on musiał iść do domu, do swego dziecka. Tak w jednej chwili nie uciekł z miasta. Leć do niego i zobacz. Jeżeli go jeszcze zastaniesz, odbierz pieniądze. Poszedłbym sam, ale czuję, że nie poradzę. Piekielnie mnie boli i jestem ogromnie osłabiony. Idź zaraz. Mnie tu zamknij. Położę się na otomanie w drugiej izbie i odpocznę.

Harden pomógł mu wstać, ranę przewiązał, dał spory kieliszek mocnego koniaku i ułożył Gerbera na wygodnej otomanie w przyległym pokoju. Sam zaś poszedł na górę i obudziwszy żonę, która nic nie słyszała, powiedział jej w niewielu słowach, że Burski postrzelił Gerbera i okradłszy go uciekł.

— I dlatego mnie budzisz? — spytała, przecierając oczy.

— Tak — odpowiedział. — Budzę cię, bo Burski ma dziecko, które wypada nam wziąć na wychowanie. Nie cierpię bachorów, ale mam w tem interes, żeby zająć się dziewczynką tego złodzieja.

Greta oburzyła się:

— Interes? Jakiż to interes możesz mieć w przyjmowaniu do domu cudzych dzieci? I to niby ja mam się za-

jąć tem dzieckiem? Chyba zwarjowałeś...

— Głupstwo — przerwał jej, zapalając cygaro. — Weźmiemy dziewczynę na kilka dni, a potem odda się ją do domu sierot.

— Ale dlaczego to wszystko? W jakim celu?

— Dlaczego? Powiem ci dlaczego. Oto poprostu dlatego, żeby nie dopuścić, aby policja wmieszała się w tę sprawę.

— Jeszcze nie rozumiem. Cóż ci to może szkodzić, że jeden łobuz postrzelił drugiego?

— Nie chce zwracać uwagi policji na nasz lokal. Wiesz, że skoro tylko gdzieś się zdarzy strzelanina, zaraz dochodzą z jakiego powodu, dlaczego, i tak dalej. Skoro zaczną tu nachodzić agenci, wypłoszą mi graczy i interes zejdzie na psy. Rozumiesz teraz dlaczego trzeba wziąć dziecko Burskiego?

Greta potrząsła przecząco głową.

— Jeszcze nie mogę pojąć co wspólnego z policją ma córka Burskiego.

— Zupełnie prosta rzecz. Burski uciekł przekonany, że Gerber nie żyje, a jemu grozi kara śmierci za morderstwo. Gdyby w opuszczonym przez niego domu zostało samo dziecko, sąsiedzi z pewnością zawiadomiliby policję i rozpoczęłoby się dochodzenie, dlaczego Burski znikł. Gdy zaś ja zabiore dziewczynkę, powiem sąsiadom, że ojciec jej wyjechał na dłuższy czas i nam powierzył opiekę nad córką. Zresztą co tu dużo gadać? Bierzemy dziewczynkę i na tem koniec. Jak nie zechcesz się zajmować nią, oddamy do zakładu, ale narazie musi być u nas.

Greta nie oponowała dłużej.

— Rób jak zechcesz — rzekła — ale pamiętaj, że ja nie myślę być nianią cudzego dziecka. A teraz daj mi spać, bo zmęczona jestem.

Poszedł na dół, przekonał się, że Gerber zasnął, i zamknąwszy szynk pospieszył do portu, gdzie miał czekać na niego Burski.

— No — rzekł, ujrzawszy go w umówionem miejscu — szczęście, że udało ci się zemknąć. W kilka minut po twojem wyjściu zjawiła się policja. Sąsiedzi posłyszeli strzał i zatelefonowali na najbliższą stację. Przyjechał także i lekarz i stwierdził śmierć od kuli. Mnie zaraz przesłuchali... Powiedziałem, że w knajpie był jakiś nieznajomy człowiek, który przyszedł razem z Gerberem. Na razie dali mi pokój, ale obawiam się, że będę miał wiele kłopotów i nieprzyjemności...

Burski patrzył na mówiącego i słuchał, ale myśli jego były w domu, przy Haneczce. Wyprawiony z szynku przez Hardena, pojechał do domu pożegnać ukochaną córeczkę i łzami oblał twarzyczkę śpiącego dziecka. Nie zbudziła się, gdy ją przycisnął do piersi, tylko tulac sie do niego przez sen, wyszeptała: „tata... tata!"

Ból niezmierny rozrywał mu piersi, że oto musi zostawić to dziecię i uchodzić gdzieś daleko, sam tylko, opuszczony przez wszystkich. Wyobrażał sobie płacz dziecka, gdy obudziwszy się nie zastanie ojca. I już chciał pozostać i dać się aresztować, gdy przyszło mu na myśl, że mogą skazać go na śmierć, jak to zresztą Harden kilka razy rozmyślnie powtórzył, a wówczas bezpowrotnie już będzie stracony dla córki.

Uciekał więc, ale uciekał nie ze strachu przed karą, tylko aby żyć dla dziecka.

— Przecież kiedyś ujrzę jeszcze Haneczkę i do serca przytulę — myślał zrozpaczony.

Harden mówił tymczasem dalej:

— Co do ciebie, ani godziny nie powinieneś zostawać w mieście. W tej chwili wszystkie stacje policyjne mają polecenie poszukiwania mordery Gerbera, a choć nie podałem jak wyglądasz, tylko opisałem zupełnie innego człowieka, z łatwością mogą cię wyśledzić, a wówczas po tobie. Korzystaj więc z jedynej sposobności i staraj się dostać na pokład któregoś ze statków odpływających do Ameryki Południowej. Nie martw się o dziecko... zaopiekuję się Haneczką jak własną córką, a gdy kiedyś będziesz mógł powrócić, zastaniesz ją zdrową i szczęśliwą.

Burski z uczuciem ścisnął rękę Hardena.

— Dzięki ci, przyjacielu, dzięki stokrotne, że chcesz zastąpić ojca biednej sierocie. Do ostatniej chwili życia wdzięcznym ci będę za twą szlachetność, Michale, i wszelkiemi siłami będę się starał wynagrodzić cię...

Sięgnął do kieszeni i wydobywszy złożoną we dwoje kartkę papieru, podał ją Hardenowi.

— Dziś śmiałem dostać od ciebie dwa tysiące dolarów — rzekł ściskając mu dłoń ponownie. — Nie potrzebuję teraz tych pieniędzy, niechże zostaną przy tobie, jako część pokrycia wydatków, jakie będziesz musiał ponosić na Haneczkę. Tylko, Michale, na wszystko cię proszę — mówił przez łzy — bądź dobrym dla tego dziecka. Ona taka wrażliwa, tak wątła i delikatna, najmniejszą drobnostkę głębiej odczuje niż dorośli. Powiedz jej, że wyjechałem i że za kilka miesięcy wrócę. Zapomni...

Harden udawał mocno wzruszonego. Wzdrygał się niby przyjąć swój skrypt dłużny i zaczął coś o swej bezinteresowności, ale Burski, zbyt przejęty, aby poznać obłudę łotra, sam podarł papier na kawałki i rzucił je w wodę.

— Tak — rzekł. — Nie ty moim, ale ja twoim dłużnikiem na zawsze zostanę. Żegnaj, przyjacielu, i zastąp Haneczce nieszczęśliwego jej ojca.

Pochwycił stojącą przy nim walizkę i spiesznie oddalił się. Po chwili postać jego znikła w mrokach nocy.

— A to mi się udało! — pomyślał Harden, zacierając ręce. — Dwa ptaki za jednym strzałem! A ten bałwan zapewnia mnie jeszcze o wdzięczności! Nie widziałem większego głupca. Tylko z tym bębnem będzie trochę kłopotu. Głupia sprawa, bo rzeczywiście wziąć ją muszę choć na jakiś czas. Zresztą, zobaczymy jak się to ułoży.

Idąc do domu myślał dalej:

— Niepodoba mi się ten Gerber. Tak jakoś spojrzał na mnie, gdy spostrzegł brak pieniędzy... A sprytna to sztuka, gotów się domyśleć wszystkiego. Muszę z nim politykować do czasu... W każdym razie interes zrobiłem dziś niezły. Pięć tysięcy dolarów, i to na takie ciężkie czasy! Zuch jesteś, Majk, i kwita.

Rozwidniało się już, gdy przyszedł do domu. Gerber spał jeszcze. Harden przyniósł wody z kuchni i wytarł dokładnie podłogę, uważając, żeby najmniejszy ślad krwi nie pozostał. Następnie napił się wódki, zapalił grube cygaro i kontent z siebie usiadł na otomanie przy śpiącym spólniku.

Posiedział chwilę począł go budzić. Osłabiony upływem krwi i pijatyką poprzedniego wieczora, Gerber nie rychło się obudził. Dopiero poruszony kilka



Oto wesoła scena z balu maskowego. Roześmiane, beztroskie twarze każą nam wierzyć, że zabawy karnawałowe nie straciły jeszcze na uroku.

razy za ramię otworzył oczy i odrazu oprzytomniał.

Podniósł się cokolwiek i patrząc bystro na Hardena zapytał:

— No i co? Znalazłeś?

— Nie, — brzmiała odpowiedź. — Był przedemną w domu i jak się zdaje zabrał trochę rzeczy i znikł bez śladu. Dziecko śpi najspokojniej. Ładny ojciec, niema, co mówić... Zostawił dzieciaka jak niepotrzebny grat i sam wyfrunął niewiadomo dokąd, zabierając z sobą swoje trzy tysiące dolarów.

Gerber zgrzytnął zębami.

— Niech no ja go tylko dostanę w ręce — syknął. — Popamięta, kogo odważył się okraść. Nie mam mu za złe, że strzelił do mnie. Prosił się. Ale żeby postrzelić kogoś i przytomnego okraść... Tego mu nigdy nie zapomnę.

— Daj znać do policji — wtrącił Harden. — Może go znajdą, to i pieniądze odbierzesz....

Gerber spojrzał na niego jadowitym wzrokiem.

— Do policji? — spytał ironicznie. — Nie, mój kochany. Dam sobie radę i bez policji i prędzej czy później odbiorę swoje.

Harden był w doskonałym humorze i kpił dalej:

— Nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś udać się do policji. Postrzelił cię i okradł. Chyba wystarczy...

— Głupiś, Majk. Wiesz, że unikam spotkania z detektywami, i drwisz sobie ze mnie, dając mi takie rady. Zresztą wpadnie mi on w ręce i bez policji a wówczas...

Harden wiedział doskonale, że Gerber miał kilka grubych sprawek na sumieniu i był poszukiwany przez policję od dłuższego już czasu. Radząc mu, żeby poszukiwał Burskiego przez policję, chciał lekko mu przypomnieć, że wie o tem i w razie potrzeby potrafi zrobić z tego użytek. Na wszelki wypadek chciał mieć Gerbera w swej mocy.

Wczesnym rankiem Harden udał się do domu Burskiego i zabrał Haneczkę. Rzeczy kazał odwieźć do siebie, na pytania sąsiadów powiedział, że Burski wyjechał do Europy na kilka miesięcy a dziecko powierzył jego opiece. Nikt nie stawiał mu trudności zabraniu dziecięcia, bo sąsiedzi widywali go, jak często przychodził do Burskiego, i mieli go za bliskiego przyjaciela lub krewnego ojca Haneczki.

Nie przeszkadzano mu też, gdy na parę dni zjawił się w towarzystwie kilku robotników po meble i rzeczy pozostałe po sąsiedzie Burskim. Wprawdzie tragarze szybko spakowali wszystko, co było w mieszkaniu, naładowali na wielki samochód ciężarowy i odjechali razem z Hardenem. Mieszkanie zostało puste i wkrótce sąsiedzi zapomnieli o Burskim i jego córeczce.

Zabranie i sprzedanie rzeczy było zamknięciem „świetnego interesu", jaki przeprowadził Mike Harden.. Za jednym zamachem pozbył się długów, nie naruszając wziętych od ojca Grety pięciu tysięcy, a ponadto uzyskał ze sprzedanych mebli kilka set dolarów. Jedna tylko pozostawała trudność. Co zrobić z Haneczką?

W duszy tego człowieka nie zaświtała myśl, jak straszną krzywdę wyrządził Burskiemu i biednej jego córeczce. Nie obudziło się w nim sumienie na widok płaczącego po ojcu dziecka.

Gdy wiózł Haneczkę do swego domu, dziecko przez łzy dopytywało się niewinnym szczebiotem o ojca:

— Pan — pan — mówiła maleńka — gdzie tata?

Harden oburknął ją ostro i kazał być cicho.

Przyzwyczajona do łagodności i pieszczot ojca, Haneczka szeroko otwarła swe wielkie niebieskie oczy i wystraszonemi źrenicami spojrzała na niego tak, że kamień by zmiękł od tego wejrzenia. Nie zmiękło jednak serce szynkarza. Zły był sam na siebie, że wziął taki ciężar na barki, i złość tą dawał odczuć dziecku.

— Co ja z tobą zrobię, bębnie utrapiony? — mruczał do siebie, jadąc z Haneczką do domu. Wyobrażam, jak cię Greta przywita i co ja będę miał z tą babą przez ciebie... Głupia sprawa... Nic, tylko trzeba będzie jaknajprędzej oddać ją na wychowanie ,bo w domu przecież nie będziemy trzymać czyjegoś bachora. Są przecież domy sierót, które zajmują się opuszczonemi dziećmi...

Haneczka wtulona w kąt siedzenia samochodu smutno patrzyła na tego pana, który zabrał ją z domu i nie chciał powiedzieć gdzie jest kochany jej tatuś. Wielkie, ciężkie łzy spływały po wystraszonej twarzyczce dziecka. Chciała krzyczeć, wołać ojca, ale strach przed tym wielkim, groźnym panem zamykał jej usteczka. W milczeniu siedziała drżąc na całem ciele i czuła się bardzo, bardzo nieszczęśliwą.

Wkrótce samochód zatrzymał się opodal szynku Hardena. Nie chciał on podjeżdżać pod same drzwi, dla uniknięcia niepożądanych pytań ludzi, którzy mogli być w szynku lub przed wejściem. Wysadził Haneczkę z samochodu, zapłacił kierowcy za jazdę i przez zaułek wszedł tylnemi drzwiami, niosąc wystraszone dziecko na ręce.

Nie zauważony przez nikogo, wszedł na górę, gdzie spotkał się oko w oko z Gretą, która właśnie także przyszła do domu i znów miała wychodzić.

Twarz kobiety była wzburzona i zła. Greta bowiem wróciła od rodziców, którzy powiedzieli jej, że Mikę wziął od starego pięć tysięcy, rzekomo na kupno domu.

W głowie jej zaświtało podejrzenie, że mąż roztrwonił cały jej posag i te pięć tysięcy także chce na karty i hulanki w klubach o tem, że Mikę grywa wysoko w karty, wiedziała już dawno od Gerbera, który niedwuznacznie zalecał się do niej, udając śmiertelnie zakochanego. Nie przypuszczała jednak, żeby Harden posunął się aż tak daleko, by pozbawić ją całej sumy posagowej. Dopiero wiadomość o pożyczce otworzyła jej oczy. Postanowiła dowiedzieć się całej prawdy i właśnie miała iść do Gerbera, aby na nakłonić go do wywiedzenia się, gdzie mąż jej bywa



Premjer japoński Okada dużo czasu poświęca swej rodzinie. Powyżej widzimy go, jak małego swego wnuka pędzlem uczy trudnej sztuki pisania.

po nocach i ile przegrał w ostatnich kilku miesiącach.

Przybycie Hardena z Haneczką przeszkodziło jej w wyjściu. Na widok dziecka cofnęła się do sypialni i nie mówiąc ani słowa zatrzasnęła drzwi za sobą. Mike zapukał do sypialni, ale przez zamknięte drzwi dowiedział się tylko, że pani nie jest w usposobieniu do rozmowy, gdyż szalenie ją głowa boli.

Zacisnął zęby ze złości i nadając swemu głosowi jaknajłagodniejszy wyraz próbował nakłonić Gretę do zobaczenia przyniesionego dziecka.

— Mamy gościa. Gretchen — mówił słodko — wyjdźże choć na chwilkę i zobacz.

— Powiedziałam, że głowa mnie boli i chcę odpocząć. Co zaś do tego bękarta, ani myślę zajmować się nim. Postarałeś się o dziecko, chowaj je sobie sam.

Harden pomimo rozdrażnienia parsknął śmiechem.

— Jakto? — spytał. — To ty myślisz że to moje dziecko?

— Chyba, że nie masz mnie za tak głupią, żebym uwierzyła twojej bajce o konieczności zajęcia się czyjemś dzieckiem — odparła bez namysłu. — Zresztą rób co chcesz i daj mi spokój. Sama spodziewam się zostać matką, to będę miała dosyć do roboty ze swojem własnem dzieckiem.

— Ależ, Gretchen — mówił dalej przez zamknięte drzwi — zastanów się przecie .Wiem, że będziemy mieć własne dziecko, ale i z tem coś trzeba zrobić. Mała jest głodna, trzeba jej dać co do zjedzenia, a przecie nie wiem co się takiemu dziecku daje. Wyjdź, Gretchen, proszę cię...

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

MARJA REUTT

6)

Zemsta Cyganki

POWIEŚĆ

Hrabia zaniepokoił się lekko. — Dlaczego aż tam?

Uśmiechnęła się wdzięcznie:

— Bo ja tak chcę. A więc czekam na hrabiego za trzy dni.

Gdy wyszedł, włożyła żakiet, przejrzała się w lustrze, poprawiła kapelusz i nucąc jakąś wesołą piosenkę, wybiegła ze schodów na ulicę i skierowała się w stronę parku. Tu zdaleka ujrzała już przechadzającego się samotnie Horacego. Przywitali się serdecznie i poczęli układać plany przyszłości. Mieli wziąć ślub najpierw w urzędzie stanu cywilnego, a potem dopiero miał się odbyć ślub kościelny.

W dwa dni potem odbył się ich ślub cywilny. Jako świadkowie służyło im dwóch woźnych. Po ślubie rozradowani, niby dwoje dzieciaków, zjedli śniadanie w podmiejskiej restauracji, gdzie umówili się, że Horacy miał przyjechać po nią nazajutrz wieczorem, aż do zamku karpackiego. Horacy doznał nieprzyjemnego ukłócia w serce.

— Do zamku stryja? Dlaczego aż tam?

Pocałunkami rozwiała nieprzyjemne wrażenie, pieszczotami uzyskała zgodę. I nazajutrz o pierwszej wyjechała już samochodem w stronę Karpat, szczęśliwa, triumfująca. Hrabia jechał z sercem pełnem jakichś niewyraźnych przeczuć. Czuł, że sytuacja jego jest niewyraźna, ale jechał rozpalony, pełen pożądania, niecierpliwości. Nie odczuł żadnego wyrzutu sumienia lub żalu po wyjeździe żony. Raczej odczuł ulgę, że całe przejście odbyło się tak łatwo i tak spokojnie .Z gorączkową niecierpliwością zakrzątnął się około odnawiania domu, który chciał urządzić na nowo. Wszczął również energiczne kroki, starając się uzyskać rozwód. Sypnął hojnie pieniędzmi, wysłał swojego adwokata do Rzymu, obiecując mu złote góry, gdyby udało mu się osiągnąć dodatni rezultat.

* * *

W zamku karpackim ruch wielki. Sam baron pilnuje przygotowań na przyjęcie ukochanej. Służba krząta się gorliwie. Jeden z lokaji nakrywa do stołu, chłopcy kredensowi podają mu talerze, noże, szklanki, on przynagla ich do pośpiechu. Drugi lokaj rozpala ogień na kominkach, inny przestawia meble.

Zmrok jesiennego dnia szybko zapada. Nastała noc ciemna i chmurna. Baron raz po raz spogląda na zegarek, podchodzi do okna i nadsłuchuje. W ciszy nocnej rozległ się głośny ryk trąbki automobilowej. Zamigotały reflektory i w bramę wjechał samochód. Krew gorącą falą przepłynęła po ciele barona, który szybkim krokiem podążył na spotkanie gości. Do jasno oświetlonej obszernej sieni zamkowej wchodzi Karina w długim, sportowym płaszczu, uśmiechnięta, zaróżowiona. Baron na jej widok rozpromienia się cały i składa pocałunek na jej ręce. Nie spostrzega wchodzącego hrabiego.

Gdy go ujrzał wchodzącego za Kariną, twarz barona Erwiga spochmurniała. Patrzył na hrabiego Czachowicza pytająco ze źle ukrywaną irytacją. Ona wdzięcznym uśmiechem tłumaczyła obecność hrabiego:

— Obawiałam się jechać tak sama daleko, a ciotka nie mogła mi towarzyszyć. Prosiłam więc hrabiego, by mi służył za opiekuna.

Baron silił się na uprzejmość i prowadził ich do ogrzanego i jasno oświetlonego gabinetu.

Karina ubrana jest w ciemną wełnianą suknię, którą ożywia jedynie medaljon złoty. Nie przypomina ona w niczem Zoryny, a mimowoli hrabiemu przychodzi na myśl urocza cyganka, którą zdobył siłą, by natychmiast utracić.

Po smacznym obiedzie, który przeszedł pod znakiem naprężonego oczekiwania i niepokojącej niepewności, przeszli na kawę do gabinetu. Karina wtuliła się w fotel i przymknąwszy oczy, zdawała się marzyć i nasłuchiwać czegoś.

Przed gankiem zahuczała syrena samochodowa. Migają światła, ktoś zajechał. Obaj mężczyźni zrywają się. Wstaje i Karina. Baron mówi głośno:

— Kto to mógł przyjechać?

Karina z miną triumfującą wyrzuca okrzyk zwycięski:

— Mój mąż!

Z ust obu mężczyzn wybiega krzyk:

— Co???

Ona spokojnie potwierdza:

— Tak, mój mąż... wczoraj odbył się nasz ślub. A pan... do hrabiego — jest moim ojcem, a matką...

Mężczyźni bladzi, osłupiali, wpili się w nią wzrokiem pytającym. Karina wolno zdejmuje medaljon z szyi, otwiera go, wyjmuje znajdującą się tam fotografję hrabiego i podaje medaljon baronowi.

Temu wyrywa się z ust okrzyk zdumienia:

— Zoryna?...

Usta kobiety wykrzywiają się szyderczo.

— Tak, Zoryna!

— — — — — — —

— I po tym zamku biegać będą wnuki Zoryny, którąś sponiewierał!

Okrzyk ten rozległ się tryumfalnym echem po pustym zamku, rozszedł się po najtajniejszych zakątkach i wrócił do gabinetu, wrzynając się krwawą raną w sercach tych, dla których był przeznaczony.

Zawtórował mu żałosny jęk barona Karola i łkanie ciężkie, bolesne, wyrywające się z jego piersi. Na Horacego ten płacz stryja zrobił szalone wrażenie, wstrząsnął całem jego jestestwem. Podbiegł do niego i przyklęknąwszy ujął jego rękę w swoje. Baron, ujrzawszy przed sobą bratanka, zerwał się z fotelu z rozpaczliwym krzykiem:

— Horacy, coś ty zrobił. Coś uczynił! — i runął ciężko na fotel, chwytając się za serce.

Horacy przeraził się.

— Doktora! — wrzasnął, rzucając się do dzwonka. Hrabia, który po słowach Mścisławy stał jak piorunem rażony, ożył nagle wobec zasłabnięcia przyjaciela. Szybkim krokiem podążył do garażu i popędził do pobliskiego miasteczka.

Po wyznaniu Mścisławy opanował go wstyd, złość na samego siebie i żal za utratą żony.

Kochał się we własnej córce!... Dla niej rozwiódł się z żoną, z którą ożenił się z głębokiej miłości, i z którą tak był szczęśliwy...

Targał nim gniew na siebie i na Mścisławę i cierpiała miłość własna. Ośmieszył się w oczach swoich, w oczach przyjaciela i bliższych znajomych, którzy widzieli jego namiętność do tej mniemanej siostrzenicy hr. Gronowskiej.

Wzburzone nerwy pragnęły ruchu, więc pędził z wiatrem.

Opatrzność chyba istotnie czuwała nad hrabią, gdyż szczęśliwie dostał się do miasteczka i dostukał do doktora. Prawie przemocą wyciągnął go z łóżka i wsadził do automobilu.

Horacy tymczasem przy pomocy służącego przeniósł stryja z fotelem do sypialnego pokoju, rozluźnił ubranie ,nacierał mu skronie wodą kolońską, rozcierał zlodowaciałe ręce swoimi dłońmi.

Gdy doktór nadjechał, baron dawał pierwsze, choć bardzo słabe oznaki powracającej przytomności.

Mścisława została sama, zapomniana, osamotniona: opanowały ją złe przeczucia i niepokoje.

Usiadła na niskim foteliku przy kominku i czekała. Słyszała jak doktór przyjechał i odjechał, razem z hrabią, jak lokaje biegali tam i napowrót, ale do niej nikt nie zajrzał.

Wreszcie dobrze po północy stanął we drzwiach lokaj i oznajmił jej, że pan baron ma się lepiej.

Pan Horacy prosi, by jaśnie pani baronowa poszła odpocząć do gościnnego pokoju. Pan Horacy zostanie na noc u pana barona.

Podziękowała skinieniem głowy, ale nie ruszyła się. Ogień wygasł prawie, zimno przejmujące, wilgotne, wciskało jej się aż do kości, do pokoju wpełzał szary świt przez zasunięte firanki, a ona czuwała, trzymając w napięciu swą siłę magiczną.

Nie chciała usnąć. Bała się, że jeżeli na chwilę choć zwolni natężenie woli, przepadnie jej władza nad Horacym. Znała go. Znała jego dumę, jego prawość, jego pojęcie o honorze i etyce. Lekceważyła je, śmiała się z nich, pogardzała nimi, nazywając je oznaką słabości. Ale teraz bała się, by nie okazały się one silniejszemi od niej, by nie zwyciężyły jej. Kochała Horacego, kochała po swojemu, ale szczerze i mocno i bez walki nie odda go nikomu.

„Oddać?"

— Och nie, za nic!... On mój i niczyim już nie będzie! — Nie chciała się bać, gdyż najmniejsza obawa może zniszczyć tę jej moc, która dawała jej władzę nad ludźmi.

A jednak — bała się. Drżało jej serce niepokojem, nerwowo poruszały się ręce, ściągały brwi.

W ciszy nocy rozległy się nierówne, ociężałe kroki, zmierzające ku gabinetowi i w obramowaniu portjery stanął Horacy.

Poderwała się ku niemu pewna już siebie.

Przyszedł, jej wola zwyciężyła!

Oczy swe o głębi niezmiernej, o twardym, mocnym wyrazie, oczy niepokojące, nieodgadnione podniosła ku twarzy męża, wpiła się wzrokiem w nią i serce jej zabiło trwogą, nieznaną dotąd.

Ujrzała twarz — obcą. Obce jej były bowiem te rysy ściągnięte cierpieniem, te oczy pełne żalu i upokorzenia, jakby wyrzutów sumienia, te brwi ściągnięte bólem, usta zacięte oburzeniem.

Biegła ku niemu z sercem trzepoczącem się, jak wystraszony ptak.

Odepchnął ją niemal brutalnie.

Karina, dlaczegoś to zrobiła, jak mogłaś... jak mogłaś...

Chwyta się za głowę ruchem rozpaczy.

— Karina... Karina...

Mścisława porusza wargami. Chce się usprawiedliwić, chce mu mówić o swej wielkiej miłości, ale Horacy przerywa jej ruchem władczym:

— Milcz, nie kłam więcej!

Mścisława zamyka usta, roztwiera szerzej oczy i wpija się niemi w Horacego, jednocześnie niby bawiąc się rękami, rozkłada je i składa wolno, dotykając się jedynie wskazującemi palcami obu rąk.

Horacy zauważa te ruchy i wyraz oczu Mścisławy. Chwyta ją za ręce, ściska je mocno i zbliżając swą twarz do jej twarzy, krzyczy zduszonym od gniewu głosem:

— Zostaw te swoje sztuczki! Nie mają one już nade mną żadnej władzy.

Odtrąca ją i chwyta się za głowę.

— Tak, byłem szczęśliwy. Tak bardzo wierzyłem w ciebie i teraz nie mam już poco żyć! —

Ściska skronie ruchem rozpaczy.

— Kochałem cię ponad honor i sumienie, dla ciebie skrzywdziłem najszlachetniejsze dziewczę, jakie znałem kiedykolwiek, nie czując nawet wyrzutów z tego powodu, a ty?...

Przerywa mu błagalnie.

— Horacy, kocham cię nadewszystko w świecie! Odwrócił się ku niej z wyrazem pogardy i bólu.

— Ale ja kochać nie mogę oszustki i zbrodniarki.

Zawrócił ku drzwiom i ruchem człowieka nagle oślepłego, targał portjerę, szukając klamki.

Została znów sama i w porywie rozpaczy wyciąga ku drzwiom ręce z błagalnem wołaniem:

— Horacy!... Horacy!...

Ale drzwi są zamknięte. Z poza portjer, żaden szmer nie dochodzi.

Mścisława przytomnieje, przychodzi do równowagi. Musi działać, musi zwyciężyć i mieć go znów u swych nóg uległego, rozkochanego, czujnego na każde jej skinienie.

Podnosi wysoko głowę. Oczy jej nabierają wyrazu władczego, robią się ciemne, głębokie, tajemnicze. Idzie z nich moc i prąd magnetyczny.

Ręce ruchami powolnemi rozkazują komuś nieznanemu uklęknąć u jej nóg.

Powtarza to trzy razy. Usta jej szepcą za każdym razem:

— Wrócisz... Wrócisz... Wrócisz...

Na usta wykwita uśmiech zwycięski.

Ciało jej wypręża się wężowemi ruchami, jakby w oczekiwaniu pieszczot.

Nagle wstrząsa się.

W sąsiednim pokoju rozlega się wystrzał rewolwerowy i łoskot padającego ciała.

Wpada, by ujrzeć Horacego, leżącego na środku pokoju z rewolwerem zaciśniętym kurczowo w ręku.

Schyla się nad nim, próbuje podnieść, ale nie może, za słabą jest na to. Biegnie do drzwi i naciska dzwonek mocno, długo.

Pokojówka, stara panna w okularach, o długim nosie i cienkiej żyrafiej szyi, słysząc dzwonek, biegnie na wezwanie. Wpadłszy do pokoju i ujrzawszy leżącego Horacego, wydaje okrzyk przerażenia i pada zemdlona.

Mścisława dzwoni ciągle.

Stary lokaj, niosący tacę z herbatą na dźwięki alarmowe, rozlegające się złowrogo w kredensowym pokoju opuszcza tacę na ziemię ze zmartwiałych przerażeniem rąk i spieszy, trzęsąc się cały.

Kamerdyner, nakrywający do stołu, pędzi również z serwetką pod pachą. Zatrzymują się we drzwiach; nieruchomieją z przerażenia.

Mścisława odrywa palec od dzwonka:

— Doktora co tchu!

Lokaj zawraca i przeskakując po parę stopni pędzi do stajni z rozkazem.

Mścisława tymczasem każe kamerdynerowi zabrać z pokoju zemdloną pokojówkę.

W chwili, kiedy służący podnosi ją z ziemi, otwiera ona oczy, by je zamknąć czemprędzej i z dzikim krzykiem uczepić się na szyi mężczyzny, przytulić swą głowę do jego piersi.

Pełen odrazy i obrażonej godności znosi ją lokaj na dół i kładąc niezbyt delikatnie na ziemię, mówi ze złością:

— Wrzeszcz sobie teraz! Co za głupia gęś.

Głupia gęś wyciąga do niego błagalnie ramiona.

— Nie zostawiaj mnie samą — tak dobrze mi było w twem objęciu.

Lokaj spluwa ze złością i zawraca na górę.

ROZDZIAŁ X.

Cud

W gościnnym pokoju zamkowym, dokąd przy pomocy służby przeniosła Mścisława Horacego, pochyla się doktór i sanitarjuszka. Doktór trzyma go za puls, twarz ma zafrasowaną.

Mścisława chwyciła się kurczowo poręczy łóżka i rozszerzonemi przerażeniem oczami wpatruje się w nieprzytomną twarz ukochanego.

Doktór kiwa głową:

— Jednakowo, nieprzytomny.

Mścisławie krew cała zbiega do serca. Robi jej się zimno w sercu i ciemno w oczach. Zataczając się, wychodzi z pokoju, przebywa biegiem schody i wchodzi do swego pokoju.

Pada na kolana na środku pokoju, załamując ręce w męce i błaganiu i woła przez zaciśnięte zęby:

— O potężny Mani, o potężny duchu ciemności, wielki szatanie, ratujcie go dla mnie, nie dajcie mu umrzeć. Rozkrzyżowuje ręce na cztery strony świata, opuszcza je, to podnosi, to znów palcami kreśli na podłodze znak swastyki.

Skupia w sobie całą swoją wolę, koncentruje ją w oczach i patrząc pociemniałemi źrenicami przed siebie, błaga wszystkie duchy o pomoc. Wpada

w rodzaj transu, wysyła swego ducha, by obudził czucie w rannym, by wrócił mu przytomność. Ale duch ten i zaklęcia są bezsilne!

Zmęczona, zbolała, podnosi się niezupełnie jeszcze oprzytomniała i krokiem ciężkim idzie znów do łoża chorego. Błagalnemi oczami prosi o nadzieję, ale doktór nie ma żadnej.

— Nieprzytomny. O ile przed północą nie odzyska przytomności, umrze do rana.

Ma wrażenie ,że lodem ścięła jej się krew w żyłach.

— Umrze. — O nie, to niemożliwe, by jej Horacy mógł umrzeć.

W rozpaczy bezmiernej oczyma wpija się w twarz Horacego bladą, nieruchomą, jakby martwą.

Bezmyślnie wzrok jej pada na mały krzyż z kości słoniowej, wiszący nad łóżkiem.

Chrystus — ten dziwny Bóg-Człowiek, o którym mówiły jej ciągle zakonnice i do którego kazały się modlić. W jej bezgraniczną rozpaczą zwichrzonym mózgu błysła myśl:

— Prosić Go, może On wysłucha.

Zawraca się i cicho wysuwa z pokoju, przebiega korytarz, sień i przez podwórze zamkowe wchodzi na cmentarz kościelny.

Kościółek ubogi, mały, wtulony w mur zamkowy, stał otwarty. Z lękiem i nieśmiałością wsunęła się do wnętrza.

W bocznej nawie figura Chrystusa w naturalnej postaci, z jedną ręką wysuniętą jak do błogosławieństwa, drugą tulący małe dziecko.

Mścisława upadła u stóp Chrystusa, do nóg jego przytuliła spalone wargi.

— O Panie, o Boże, ratuj Horacego, chociaż Cię nie znam wcale, ulituj się nademną i ocal Horacego. Spraw niech on żyje! O Boże, mówiono mi zawsze, żeś Ty dobry i miłosierny, ulituj się...

Podnosi oczy do słodkiej, dobrotliwej twarzy Chrystusa w ekstazie modlitwy. I widzi, że ręka Chrystusa drgnęła i opuściła się na jej głowę. Trwało to zaledwie sekundę. Ręka wróciła do dawnej pozycji, ale ona widziała ten ruch i czuła tę rękę na swej głowie.

Przypada znów do nóg Chrystusa, płacząc i całując Jego stopy z okrzykiem dziękczynnym.

— O Panie, dzięki Ci!

Jest już pewną, że Chrystus ją wysłuchał i nie dziwi się, gdy wchodzącą do pokoju Horacego wita jednocześnie z ust doktora i pielęgniarki:

— Pst... w tej chwili odzyskał przytomność. — Mścisława krzyżuje ręce na piersiach, zamyka oczy, i sercem całem szepce dziękczynnie:

— Dzięki Ci Panie!

* * *

Odzyskał przytomność, ale chwyciła go w swe szpony gorączka silna, trawiąca.

Nie poznawał nikogo, suwając ciągle głową tu i napowrót, szarpiąc nerwowo palcami kołdrę, jęczał żałośnie:

— Beata... Beata... przebacz i zapomnij.

I dni szły, a gorączka nie opadała, majaczenie nie ustawało na chwilę. Z jego spieczonych warg wychodziło ciągle monotonne wołanie:

— Beato!... Beato!...

Mścisława, nie rozbierając się, czuwała przy nim dniem i nocą, walcząc ze zmorą choroby.

Chwytała doktora za ręce, błagając:

— Co będzie?... Co będzie?...

Doktór wzruszał bezsilnie ramionami.

— Gdybyśmy mogli sprowadzić mu tę jakąś Beatę, możeby ona uspokoiła go i sprowadziła sen na jego powieki i tem samem uratowała jego władze umysłowe, które zatracają się, giną, pożerane gorączką.

Mścisława usunęła się na ziemię przy łóżku, niezdolna utrzymać się na nogach.

Rozpacz ogarniała ją jak ogniem. Nie może znieść myśli o jego śmierci, ale także boi się pomyśleć o życiu swem bez niego, o oddaniu go innej kobiecie. Zrywa się w niej bunt miłości.

— Nie... oddać go innej?! Nigdy.. za nic!

Wchodzi profesor z Pragi, sława europejska. Chudy, niepozorny, o nerwowym ruchu lewej powieki i przygarbionych plecach. Schyla się nad chorym, bada puls, zagląda w zamknięte powieki, słucha majaczenia.

Zwraca się do Mścisławy, której doktór miejscowy pomaga wstać.

— Co chory mówi? Kogo woła?

Mścisława odpowiada z trudnością:

— Dawnej swej narzeczonej.

Doktór drapie się po brodzie. — Hm...

Pomyślał trochę i zaproponował nieśmiało:

— Czyby to było dla pani bardzo bolesnem sprowadzić ją tutaj? Jest to jedyne lekarstwo w obecnem stadjum choroby...

Milczała. W duszy jej toczyła się walka.

— Oddać Horacego innej? Sprowadzić Beatę tutaj? Przyznać się do porażki! Nie, raczej niech umrze, niech nie będzie ani jej, ani mój. Niczyj.

Spuściła głowę, wykręcała sobie palce z bólu, ale zdobyć się na sprowadzenie rywalki do łoża Horacego nie mogła.

Nagle chory zerwał się, siadł na łóżku, z oczami w słup, ze zgrozą zastygłą w jego twarzy, krzyknął nieludzkim głosem:

— Beato, ratuj mnie, nie odchodź, odpędź te złe duchy ode mnie i te złe czarne oczy, które mnie palą.

Zrobił kilka gwałtownych ruchów rękami, opadł na poduszki i znieruchomiał. Mścisława zatrzęsła się z wrażenia i z płaczem przypadła do niego. Oczy miał w słup, czoło zroszone zimnym potem, usta wykrzywione.

— Panie, on umiera — szeptała rozpacznie do doktora, który pochylił się nad Horacym.

Doktór zaprzeczył.

— Jeszcze nie umiera, ale parę takich ataków, a będzie po nim.

Załamała ręce.

Na nic jej moc. Gdyby ją kochał, gdyby dusza jego nie została do głębi wstrząśniętą jej postępowaniem, wtedy... o! wtedy wezwałaby na pomoc całą swą siłę nadprzyrodzoną i odciągnęłaby go od progu śmierci. Ale władzy nie miała już nad ukochanym żadnej. Dusza jego i uczucia cofnęły się, odwróciły ze wstrętem od niej, uniezależniły się, opancerzyły na wszelkie jej ataki.

Gryzła palce do krwi i wiła się wewnętrznie z bólu.

— Oddać... Nie oddać!

— Nie oddać, to samo, co zabić go!

Wzdrygnęła się.

— Zabić samochcąc jej Horacego, ukochanego nadewszystko. Gdyby ją zdradzał, wart byłby sztyletu w serce. Ale zabić go, pozwolić mu umrzeć przez nią, nie ujrzeć go nigdy więcej?...

Chwyciła się za głowę i jakby gnana wyższym nakazem, zeszła na dół, i przez podwórze zamkowe do kościółka. Jak poprzednio, upadła do stóp Chrystusa i wyciągając ku niemu ręce, w bezbrzeżnej boleści błagała żałośnie:

— O Chryste Panie, daj mi siłę być dobrą. Kocham Horacego tak bardzo i chcę, by żył. Życie swe oddałabym za niego, ale oddać go innej... nie mogę! O Chryste, nie mogę. Zbyt mnie to boli. Pomóż mi być dobrą, pomóż zwyciężyć siebie, natchnij mnie siłą.

W żarliwej prośbie podnosi ku twarzy Chrystusa oczy i ma wrażenie, że jasny promień z błogosławionej Jego ręki spływa na nią.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

„MAM NADZIEJĘ"

„Zapomniana Sylena". Przesłała mi Pani długi i bardzo kochany liścik, więc ślicznie za niego dziękuję. Proszę o częstszą pamięć tego rodzaju.

„Mam nadzieję, że znajdzie się ktoś, co skreśli do mnie kilka słów. Tak chciałabym nawiązać skimś szczerą pogawędkę listowną. Przesyłam pozdrowienia: „Złotemu Sokołowi" — „Smutnemu Urwisowi" — „Marzycielowi z pod Gniezna" i „Młodemu Technikowi z Gdyni," wznosząc gorący apel do ostatniego, aby mi napisał dużo o ukochanem, polskiem morzu."

Czy słowa „Zapomnianej Syleny" miną bez echa? Chyba nie!

KTO?

„Zrozpaczona Maryla". Naturalnie, że do „Krainy" Panią przyjmuję. Cóż to Panią skłoniło do wzięcia takiego „tragicznego" pseudonimu? Niech Pani uchyli trochę rąbka swej tajemniczości. Może będziemy mogli jakoś radykalniej Pani pomóc?

Wierszyk, tak samo część listu Pani zamieszczam:

„Jestem brunetką, oczy mam niebieskie, wzrost 1,68 cm, podobno jestem zgrabna i ładna. Tak mi wszyscy mówią. — Chciałabym bardzo znaleźć kogoś o duszy szlachetnej i zawrzeć z nim sojusz przyjaźni. Kto się do mnie z Was, Drodzy Sympatycy, odezwie i poda mi przyjaźnie dłoń?"

UKOCHAJ!

Sympatycznej „Dumce" — Poświęcam.

Ukochaj świat ten całem sercem młodem,
Lecz nie okazuj ran Twych, które bolą,
Bo nie zapłacze świat nad Twoją dolą,
Ale szyderczym owionie Cię chłodem.

Kochaj serdecznie, „Dumko", ran Twych nie otwieraj.
Cierp tylko skrycie, płacz tylko tajemnie,
Z tem przekonaniem niezłomnem umieraj
I... pamiętaj — masz przyjaciela we mnie.

„Zrozpaczona Maryla".

MIŁE I ŁADNE

„Wierszokleta". Ponieważ w ostatnim czasie mam bardzo dużo pracy, daję odpowiedź Panu na łamach „Krainy": nadesłane nowelki i wierszyki są miłe i ładne. Nowelki zamieszczę w „Moich Powieściach" — prawdopodobnie już wkrótce nadarzy się do tego sposobność. Łączę bardzo miłe pozdrowienia i oczekuję nowych wiadomości od Pana.

BRAWO!

„Córka Wichru". Liścik, chociaż niedługi powiedział mi bardzo dużo. Musiała być Pani nadzwyczaj rozradowaną i zadowoloną tym przyjazdem Braciszka, bo z każdego słowa aż tryska radość. No, a już naprawdę rozbrajającą jest Pani z tym przywiązaniem do „Moich Powieści". Nie wiedziałam, że z Pani taka czupurna i dzielna osóbka. Postawiła Pani na swojem — brawo!

Pozdrowienia z przyjemnością zamieszczam: „Hallo! Tu, „Córka Wichru"! Śle pozdrowienia całej „Rodzince", a specjalne: „Młodziutkiej Ari" — „Wesołej Maniucie" — „Iwonce" — „Białej Ujali" i „Nieznanemu Chłopczykowi z Kujaw".

DZIĘKUJĘ!

„Tangolita". Choć nieco późno, ale zasyłam Pani gorące podziękowania za pamięć i sympatyczne życzenia.

„SMUTNO MI CZASEM"...

„Zabłąkana Kukułeczka". Witam Panią jak najserdeczniej. Przykro mi niezmiernie, że już straciła Pani Rodziców i pozostała sama. Bóg jednak widocznie nad Panią czuwa, skoro posiada Pani tak zacnych i dobrych opiekunów. Słowa z listu, w których się Pani przedstawia zamieszczam niżej i proszę bardzo uważać mnie za przyjaciółkę i w każdej smutnej chwili do mnie pisać.

„Jestem jedynaczką, mówią, że przystojną i miłą panienką. Dotychczas mieszkałam na wsi, obecnie w mieście, w stolicy Pomorza. Czasem jest mi bardzo smutno, gdyż nie znam tutaj nikogo. Jestem przyzwyczajona do poszumu zbóż, szemrania strumyków i śpiewu ptaków, a tutaj, gdy wyjdę, odbija mi się o uszy tylko gwar wielkiego miasta. Wolę więc siedzieć w domu. Wolne chwile, których jest moc, z przyjemnością wypełniłabym korespond. Komu więc zależy na szczerej wymianie myśli, niech napisze do mnie. Na każdy list dam odpowiedź"

UPRZYJEMNIJCIE „ZIUCIE" ZIMOWE WIECZORY

„Ziuta" pyta: „Czy znajdzie się ktoś, kto się mną zainteresuje? Ucieszyłabym się choć krótkim listem, gdyż pozwolił by mi on nawiązać korespondencję, która potrafiłaby mi uprzyjemnić zimowe wieczory.

O sobie napisze krótko: jestem szczupłą blondynką, muzykalną, lubiącą wesołe towarzystwo, przyrodę i wszystko to, co się zwie pięknem".

PRZEPRASZAM

„Ortoklaz". Przypuszczenia Pana były słuszne, gdyż istotnie chochlik drukarski zniekształcił nieco pseudonim Pana. Przepraszam bardzo za to i ślicznie Panu dziękuję za życzenia świąteczne.

MOŻE SIĘ PANI ZNOWU KIEDYŚ ODEZWIE?

„Meteorek". List po nadesłaniu adresu — zaraz przekazałam. Może się Pan w wolnej chwili znowu do mnie odezwie i doniesie mi, czy list został Panu doręczony?

KTO JESZCZE?

„Smutny Kaszuba", jak twierdzi jest pesymistą. Drogi Panie, to bardzo przykro liczyć 20 lat i już wszystko widzieć w czarnych barwach. To prawda, że życie jest dla nas często niełaskawe, ale gdybyśmy wszyscy mieli z drobnych smuteczków robić tragedje, zabrakłoby w końcu pogodnych i radosnych ludzi. Młodość powinna brać zawsze górę nad wszystkiem, niech więc Pan pamięta, że ma dopiero 20 lat i jeszcze ogromną przyszłość przed sobą. Kto wie- czy właśnie ona nie przyniesie Panu odmiany na lepsze. Bądź dzielnym, „Smutny Kaszubo!"

Kto z Sympatyków dorzuci jeszcze kilka słów pociechy i otuchy dla „Kaszuby"?

MIŁE SŁOWA

„Parys II." przesyła pozdrowienia „Tereni z szlacheckiego dworku" — „Maleńkiej Tajemnicy" i „Uśmiechniętej Wanduli".

„Pragnę wśród Was, Drodzy Sympatycy „Krainy", pędzić życie, życie pełne radości i wesela, dalekie od świata gwarnego i zmaterjalizowanego"... pisze „Parys II."

Słowa te brzmią bardzo miło i serdecznie. Drogi „Parysie". Dziękuję Ci za nie przyjacielskim uściskiem dłoni.

Pytasz, jak przesyłać listy do Sympatyków za mojem pośrednictwem? Wystarczy kopertę z listem zaopatrzyć w pseudonim, dołączyć 25 gr znaczek i przesłać mnie. Resztę już załatwię sama. Prawda, że nie wielka filozofja?

WARTO NAPISAĆ

„Szczęsny". „Mam bardzo dużo wolnego czasu, chciałbym więc skimś podyskutować listownie na niektóre tematy. W związku też z tem wstępuję do „Krainy" i podaję kilka wiadomości o sobie: Lubię przedewszystkiem sport, uprawiam wszystkie jego kierunki, od atletyki do jazdy na rowerze. Jestem także zapalonym radjoamatorem — technikiem, foto - amatorem, no i szaradzistą. To są moje „słabości" poza pracą zawodową".

List Pana, wyżej zamieszczony, napewno przyniesie jakieś echo. Wśród liścików zaś, które napłyną, znajdzie Pan istotę ,która Mu będzie intelektualnie odpowiadała i której będzie Pan zawdzięczał niejedną sympatyczną i wartościową chwilę w życiu. Tak myślę...

Sprostowanie nazwiska Pana załatwiła już administracja.

DLACZEGO?

„Smutna Oleńka". Bóg zapłać Pani za poczciwe słowa! Wzruszyły mnie bardzo. Dlaczego Pani nigdzie nie wyjechała na święta, lecz samotnie je spędziła? Czy nie posiada Pani już bliskich osób, czy też zatrzymały Panią na miejscu jakieś obowiązki? Proszę, niech mi Pani coś o tem napisze...

Z chęcią pozdrawiam w imieniu Pani: „Mirę z Pomorza" — „Cyganeczkę" — „Dziewczynkę z Bydgoszczy" — „Dzieniusia z Torunia" — „Rybaka z Helu" i „Czarnego Olka".

Panią serdecznie ściskam i za życzenia świąteczne i za pamięć. Również z polecenia p. Danuty Wyrybkowskiej.

NAUCZMY SIĘ DOSZUKIWAĆ SZCZĘŚCIA W SKROMNYM OBRĘBIE SWEGO ŻYCIA

„Wenus". Droga Pani, pojęcia szczęścia jest tak względne! Aby je sobie stworzyć, nie potrzeba do tego pałaców, ani dworów, często wystarcza skromny domek. „Jedyna rzecz, która nadaje wartość życiu, to miłość ideału, miłość tego, co piękne i prawdziwe" — mówi pewien polski autor (nazwiska nie pamiętam) i słowami temi uczy nas przykładać większą wagę do rzeczy wznioślejszych i w nich doszukiwać się wartości. Oby to zdanie trafiło Pani do przekonania, bo wtedy nie czułaby się Pani pokrzywdzoną przez los, lecz znalazła w skromnym obrębie swego życia — szczęście i bogactwo, które — jak mówi Tomasz Zan — Bóg złożył w każdym człowieku, a za wielki błąd uważać należy szukanie go tam, gdzie nie położono.

Na tem skończę moją odpowiedź i oczekiwać będę teraz na list od Pani. Proszę, niech się Pani jak najswobodniej zawsze wypowiada w swych listach i moje słowa przyjmuje jako życzliwe rady, a nie reprymendy.

Pozdrowienia z przyjemnością przekazuję dalej. I to: „Arabce" — „Białej Ujali" — „Stelli Maris" — „Marzycielskiemu Brunetowi" — „Gwidonowi" — „Giaurowi" — „Sympatycznemu Przyjacielowi" i „Pilotowi".

CZY LIST ZNAJDZIE NALEŻYTY ODDŹWIĘK?

„Tam — Ryszard". Liścik Pana zamieszczam cały i mam nadzieję, że znajdzie on należyty oddźwięk w sercach Sympatyków „Krainy":

„Droga Pani Zofjo! Już od pół roku, co tydzień w szarem, mojem życiu i monotonnej pracy, jest parę miłych chwil, a mianowicie wtedy, kiedy otrzymam „Moje Powieści". „Kraina Szczerości" cieszy się moją specjalną sympatją. Dzisiaj zdobyłem się na odwagę i sam kieruję mój list do „Krainy". Przedstawiam się w nim całej „Rodzince": jestem dość wysokim blondynem lat 24. Lubię muzykę, śpiew i sport, szczególnie jazdę rowerem. Może znajdzie się ktoś i zechce skreślić kilka słów do mnie? Przesyłam wszystkim serdeczne pozdrowienia".

ŻYCZENIE SPEŁNIŁAM

„Ben-Ali“. Życzenia Pana spełniłam. Za śliczny, nastrojowy liścik bardzo Panu dziękuję. Mimowoli nasunął mi wiele refleksyj i przywołał na pamięć własne wspomnienia z dziecinnych lat. Żegnam Pana szczerym uściskiem dłoni.

NAPISZ OBSZERNIEJ

„Hanka“. Kochanie, Twój lakoniczny liścik zdziwił mnie niezwykle. Nie bardzo go zrozumiałam i przykro mi, że życzeniu Twemu nie mogę uczynić zadość, gdyż list prawdopodobnie został już wysłany. Napisz mi „Haneczko“, obszerniej i jaśniej, co Cię skłoniło do chęci wycofania listu. Dobrze?

„SURSUM CORDA“!

„Elżunia z Torunia“. Bardzo ucieszyła mnie wiadomość, że czuje się Pani już zdrowa.

Opisana przez Panią historja zastanowiła mnie głęboko. Uważam, że postąpiła Pani jak najlepiej, słuchając głosu swego rozsądku i sądzę, że kroku tego Pani żałować nie będzie. podczas, gdy nie zrywając z narzeczonym mogłaby być Pani kiedyś bardzo nieszczęśliwą. Czas, jak słusznie Pani zauważyła w liście. przyniesie zapomnienie, a kto wie, czy nie prawdziwe, nowe szczęście. „Sursum corda“! — hasło to rzucam Pani, proszę je podjąć.

Pozdrowienia dla „Słodkiej Gildy“ — „Pella“ i „Samotnego Stasia“ — przesyłam i żegnam Panią serdecznie.

APEL DO SYMPATYKÓW „KRAINY“

„Renia“ w swoim krótkim liściku zawarła następujące życzenie: „Chciałabym bardzo otrzymać liścik z dalekiego świata od Sympatyka „Krainy“. Mam lat 21, mieszkam na wsi, gdzie jedyną moją rozrywką jest radjo. Czuję, że korespondencja wniesie w moje życie trochę świeżych wrażeń, napisałam więc powyższy liścik, który niech posłuży jako apel.“

WYNAGRÓDŹCIE ZAWÓD

„Milutka Krzysia“. Liścik Twój, „Milutka Krzysiu“, postanowiłam oddać do druku, gdyż czuję, że po przeczytaniu go, Sympatycy postarają się wynagrodzić Twój pierwszy zawód.

„Kochana Pani Zosiu! Po długim czasie znowu się odzywam do Pani. Byłam już raz przyjętą do „Krainy szczerości“, lecz niestety, żadnego liściku nie otrzymałam. Smutno mi bardzo z tego powodu, temwięcej, że wysyłałam już kilka razy listy do Czytelników i nigdy nie dostawałam odpowiedzi. Nie wiem, dlaczego mnie pod tym względem prześladuje fatum?

Przesyłam dzisiaj pozdrowienia: „Słodkiej Gildzie“ — „Samotnej Dzidzi“ i „Elżuni z Torunia“. Może napiszecie do mnie listy, Kochane Dziewczynki? Pozdrawiam także p. Dąbrowskiego z Bydgoszczy, który ma brata w I. K. B. Może Pan D. napisze kilka słów do mnie? Hallo! „Stelisie“ co u Pana słychać, dlaczego Pan milczy? Tak samo Ty, „Irku“ i „Giaurze“?

POZDROWIENIA

„Jagódka z Borów Tucholskich“ zgadza się bardzo chętnie na korespondncję z „Elfem“ i czeka na pierwszy list od Niego. „Marzycielowi z Czerniejewa“ dziękuję serdecznie za pozdrowienia i zasyła ich również moc. Osobne zaś dla: „Takiego małego Coś z loczkami“ i „Cyganki z gondoli złudy“.

„RYŚKO D. DLACZEGO MILCZYSZ?“

„M-Rysia“. Niestety, prośbie Twei „Rysiu“, zadość uczynić nie mogę. Załączony wierszyk do listu jest tak słabiutki, że umieścić go nawet po poprawce nie mogę. Zamieszczam natomiast wyjątki z Twego liściku:

„Ryśko D.“, dlaczego milczysz i nie dajesz odpowiedzi na mój list?

Tobie „Dzika Cyganko“ — „Samotna Oleńko“ — „Duśko“ — „Szary Wróblu“ — „Dumny Lwie“ — „Te-Em“ — „Ord-Omie“ i „Dumny Jeleniu“, śle serdeczne pozdrowienia“.

„QUI PRO QUO“

P. R. T. z Zbiczna. Podała P. tylko sam adres, zapominając zupełnie o pseudonimie. Wypadło zabawne „qui pro quo“. Najpierw apelowałam o adres mając pseudonim, teraz odwrotnie, gdyż nie mam pojęcia, do jakiego pseudonimu adres należy.

PRZECZYTAM JE SOBIE RAZ JESZCZE

„Gwidon“. Na listy daję odpowiedzi kolejno, dlatego niektóre polecenia Pana są już dzisiaj nieaktualne. Spełniam więc tylko jedno z nich, mianowicie przesyłam pozdrowienia: „Nieszczęśliwej“ — „Wesołej Dziuni“ — „Lilce“ — „Księżniczce Dari“ — p. Maryli Wawrzyńczakownie, „Verte“ — „Wymarzonej“ — „Elżuni z Torunia“ i „Dumnemu Lwu“.

Dziękuję Panu raz jeszcze za wierszyk. Osobiście podobał mi się i sprawił mi radość, gdyż był przeznaczony dla mnie, zamieścić go jednak nie mogłam z podanych już powodów. Zachowałam go sobie na pamiątkę razem z innemi wierszami mnie poświęconemi. Gdy kiedys będzie mi smutno, przeczytam raz jeszcze te dobre słowa, podyktowane życzliwością serca.

CZEKAM

„Duśka“. Lubię Pani liściki. Jest w nich coś marzycielskiego i szalenie miłego. Po odczytaniu każdego, chciałabym serdecznie uścisnąć, Pannę „Daduś“. Raz za kochany szczebiot, to znowu za poważne, refleksyjne myśli.

Czy Pani brała także udział w polowaniach? Jeżeli tak, chciałabym się dowiedzieć ile Pani zabiła zajęcy. A może mi prześle Pani zdjęcie w stroju myśliwskim lub fotografje wierzchowców: „Sarny“ i „Rarytasa“? Konie to moja pasja. Interesuję się nimi ogromnie. Proszę, niech mi Pani coś więcej o nich napisze i nie zapomni dołączyć zdjęcia onegdaj obiecanego.

Czekam więc na miły odzew!

MUSIMY POCZEKAĆ

„Ari“. Bardzo Miła Dziewczynko! Pomimo szczerych chęci, nie mogę uczynić zadość Twemu oryginalnemu życzeniu, bo i w Żninie nie mamy śniegu na lekarstwo. Nie pozostanie więc nam nic innego, jak poczekać na niego. Kiedy pierwsze płatki spadną, pomyślę o Pani. Wyobrażę sobie, że jest Pani w tej chwili zadowoloną i uśmiecha się radośnie do białych, śnieżnych puszków.

Załączone przez Panią pozdrowienia przesyłam: „Li z nad Olzy“ — „Małej Meri“ — „Błękitnemu Rycerzowi“ — „Nieznanemu“ — „Dumnemu Lwu“ i „Elfowi“. „Li z nad Olzy“ proszę pozatem o skreślenie kilku słów do „Ari“.

ODWZAJEMNIENIE POZDROWIEŃ

„Marzycielski Brunet“ w ostatnim liście napisał dość dużo o sobie, oddaję więc list ten do druku:

„Jestem brunetem — mówią, że sympatycznym — średniego wzrostu o czarnych oczach. Lubię dużo czytać, a także czuję silny pociąg do aktorstwa. Pozatem posiadam zamiłowanie do sportu łyżwiarskiego i pływackiego. Lubię brać czynny udział w wycieczkach turystycznych i krajoznawczych. Krótsze wycieczki odbywam na mym stalowym rumaku.

A teraz dość o sobie. Dziękuję „Roześmianej Lu“ i „Czarującej Adzie“ za pozdrowienia i ślę tym Paniom również moc, pozatem: „Uśmiechowi“ — „Młodziutkiej Ślązaczce“ — „Gwiazdeczce“ i „Śnieżyczce“.

Teczka Wujka Janusza

NIE ROZUMIEM

„Żądło“. „Jakbyś, Wujku, uważał człowieka, który by cię o coś prosił, by mu przesłać, a potem ani wspomniał, czy przesyłkę otrzymał?“ — pyta Pani mnie w swoim liście. W pierwszym rzędzie postarałbym się dowiedzieć przyczyny milczenia, a potem odpowiednio ustosunkowałbym się do takiego człowieka. Jeżeli powodowałyby nim uczucia nieprzyjazne, usunąłbym mu się z drogi, jeżeli jakieś nieporozumienie mi nie wynikłe ze złej woli stosunku mego nie zmieniłbym. Pozatem w sprawę popatrzyłbym jak najgłębiej.

A teraz kilka słów a propos „Krainy“. Nie rozumiem, co jej Pani może zarzucić. Uważam że nikogo ona nie może razić i gorszyć. Co do wierszyków „Zefi“, p. Zofja postąpiła jak najlepiej. Zresztą niech Pani sama pomyśli jaki kontrast stanowiłby religijnie nastawiony wierszyk, obok miłosnego liściku lub odpowiedzi o erotycznem podłożu. Nie można zestawiać rzeczy bardzo głębokich z mniej poważnymi, chyba Pani mi przyzna? Wogóle proszę Panią zawsze o szczerość. Jesteśmy przecież przyjaciółmi, a więc szczerość między nami obowiązuje.

Z polecenia Pani zapytuję „Anery 20“, czy odebrała od Pani list?

CZEKAM NA INNE WIERSZE

„Biała Pani“. Wierszyk całkiem miły, tylko miejscami szwankuje w nim jeszcze rytm. Poczekam na inne utworki Pani, może uda mi się coś zamieścić. Serdecznie pozdrawiam.

UTWORY PRZEZNACZONE DO DRUKU, PISZE SIĘ PO JEDNEJ STRONIE ARKUSZA

„Konrad“. Proszę, niech Pan sobie zapamięta na przyszłość, że utwory, przeznaczone do druku, pisze się zawsze po jednej stronie papieru.

Porwał mnie Pan swemi wynurzeniami w liście. Przemówiła przez Pana młodość i święty zapał idealisty. Listy takie, jak Pański, zawsze wyróżniam, gdyż przypominają mi one własne porywy i zapały z dawnych lat. „Nie boję się niczego, odważnie i śmiało patrzę w mą przyszłość“... tak być zawsze powinno, mój Przyjacielu. Nie zginiesz, trzymając się tej dewizy. Wierszyk: „Ziemio rodzinna!“ — zamieszczam. Reszta słabsze. Czy posiada Pan talent, nie mogę jeszcze narazie orzec, może to nastąpić dopiero w najbliższej przyszłości.

ZIEMIO RODZINNA!

O ziemio rodzinna, ziemio ojczysta,
Jakaś ty sercu memu jest bliska —
Kocham cię szczerze, wielbię cię skrycie,
O złota glebo!... Ty dajesz nam życie!...

O jakże pełna ty jesteś krasy...
Tu szemrze strumyk, tam szumią lasy —
Ponad łanami skowronek się wznosi,
O piękny dzionek Maryję prosi.

Wszędzie, gdzie zwrócą się moje oczy,
Widzę twą piękność kraju uroczy.
Więc cię też kocham, aż do szaleństwa...
Kto tobą gardzi, godny przekleństwa.

„Konrad“.

TAŃCZ FOX-TROTTA!

P. Marjanowi Bińkowskiemu.

Popatrz! Już parki mkną na bale,
Śmiech i wiwaty naokoło,
Więc niech i ciebie w karnawale
Widzą wciąż wszyscy „na wesoło“...
Chociaż twe serce rwie tęsknota
I chociaż smutek cię omotał —
Tańcz fox-trotta!

Pomyśl, że młodość trwa tak krótko,
Że człowiek szybko się starzeje
I kaź napełnić kielich wódką,
Ona pocieszy cię, rozgrzeje...
Jeśli do zabaw jest ochota,
Jeśli trwa jeszcze „młodość złota“
Tańcz fox-trotta!

Głupstwo, że zdradzi cię dziewczyna,
Która przed tobą „gra“ niewinną,
Nie warto życie swe przeklinać,
Wszak na jej miejsce znajdziesz inną.
Znów się otworzą szczęścia wrota,
Więc, chociaż serce rwie tęsknota
Tańcz fox-trotta!

Mieczysław Grzegorski.

W NASTĘPNYM NUMERZE

„Maleńkiej Dzidzi“ przesyłam serdeczny uścisk dłoni i wiadomość, że odpowiedź na bardzo długi i ciekawy liścik, będzie w następnym numerze.

Raj kobiet

Jeszcze o sukienkach karnawałowych



Karnawał trwa w pełni. Sprawienie więc nowej sukienki balowej, jest jeszcze na czasie. Nie wszystkie jednak panie wiedzą, jak powinna wyglądać sukienka balowa, aby mogła nosić czarujące miano: „najmodniejsza". Oto kilka wskazówek:

Tegoroczne sukienki balowe są szyte z błyszczących wytłaczanych lub aksamitnych materjałów. Zdobią je lśniące ozdoby, sznury, marszczenia i kwiaty.

Pięknie i efektownie wyglądają sukienki balowe z mieniącej się tafty. Na pewnym balu sukienka uszyta z czarnej tafty, wzbudziła ogromny zachwyt. Jedyną jej ozdobą był tylko szal z tego samego, co suknia materjału, zarzucony na głowę. Wyglądało to bardzo oryginalnie... jednak na sto kobiet, będzie w tem do twarzy, kilku.

Ślicznie wyglądała też sukienka czarna z białym przodem i czarnym w pasie sznurem, zawiązanym z tyłu na ogromny biały chwast. Dalej czarna aksamitna z maleńkim trenem, zapinana z przodu od góry do dołu, na obciągane welurem guziki. Również cudnie reprezentowała się sukienka z różowej mory, z ogromnym dekoltem z tyłu i śmiesznym kołnierzykiem „bebe" z przodu.

Nie każdą jednak panią stać na podobne piękne i kosztowne toalety, niech więc sobie sprawi sukienkę skromną: z lamy, crepe satine lub tańszego jedwabiu. Model sukienki, o ile odpowiada zgrabna figura, może być taki, jak podany na dzisiejszym zdjęciu. Prosty, skromny i ładny. „Nie sukienka czasem zdobi kobietę, lecz kobieta sukienkę." — o tem przysłowiu pamiętajcie młode, piękne panie.

Ze świata

Pięćdziesięciolecie zapalniczki

Upłynęło właśnie pół wieku, gdy w skromnem laboratorjum Instytutu Chemicznego przy uniwersytecie wiedeńskim młody chemik demonstrował szczupłemu gronu swych przyjaciół tajemnicze ciało, nazwane przez siebie „aktinophorem", a posiadające własności wydawania niezwykle jasnego, wprost oślepiającego, białego światła.

Młodym tym chemikiem był dr. Karol Auer von Welsbach, a jego „aktinofor" jest niczem innem, jak tylko znanem dzisiaj tak powszechnie na całym świecie światłem, wydawanem przez t. zw. koszulki Auera, nakładane na palniki oświetlenia gazowego.

Młody chemik doszedł do tego wynalazku dzięki temu, że obrał sobie za przedmiot swych badań własności rzadkich metali.

Badania te doprowadziły dra Auera do innego, na napozór drobnego, a jednak doniosłego w skutkach wynalazku, który dał początek nowej gałęzi przemysłu. Genjalny bowiem chemik wiedeński poznawszy własności ceru, stał się wynalazcą nowego krzesiwa, a zatem twórcą nowoczesnych zapalniczek.

Nie dość jednak na tem, gdy bowiem Edison wynalazł żarówki elektryczne, dr. Auer znalazł jeszcze czas na bliższe zbadanie tego wynalazku, a stwierdziwszy kruchość stosowanych wówczas przez Edisona do żarówek włókien pewnego gatunku bambusu, zastąpił te włókna przez cieniutkie druciki z również rzadkiego, ciągliwego metalu osmium, który rozżarzony wydaje także silne światło i w ten sposób powstała żarówka prawdziwie praktyczna, daleko trwalsza i jaśniejsza, niż żarówka Edisona.

Nie dziw, że dzięki tym trzem wynalazkom dr. Auer von Welsbach otrzymał od swych rodaków nazwę „austrjackiego Edisona" i — co nie zawsze jest udziałem nawet genjalnych wynalazców — zakończył życie, jako człowiek bardzo bogaty.

Geografja... pocałunku

Są kraje w których ludzie się nie całują

Wyrażenie swoich przyjaznych względem kogoś uczuć pocałunkiem, znane jest, wydawałoby się na całym świecie.

A jednak tak nie jest. Jednak są miejsca na kuli ziemskiej, gdzie pocałunek jest czemś zupełnie nieznanem.

I tak nie znają pocałunku na Ceylonie, w dalekich zakątkach środkowej Afryki, w niektórych miejscach Australji.

Do Chin naprzykład przybył pocałunek dopiero z Europy, ten sposób wyrażania ludzkich uczuć znają tam dopiero od dwustu lat. Przyjął się tam zresztą zwyczaj całowania bardzo prędko i przeniknął do najdalszych zakątków kraju.

Są jednak też miejsca na kuli ziemskiej, gdzie pocałunek jest surowo zwalczany. I tak naprzykład w Tybecie nie wolno się całować pod groźbą bardzo surowej kary.

Najciekawe audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 2 lutego 1936 r.

9.00 Audycja poranna 12.15 Poranek symfoniczny 14.00 „Zachowane pozory" — humoreska 14.20 Muzyka lekka 15.00 Godzina rolnika 16.00 „Na gromniczną" — opow. dla dzieci 16.15 Sonata skrzypcowa G-dur — Melcera 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Muzyka taneczna w wyk. zespołu Fr. Witkowskiego 17.40 „Warszawska migawka regjonalna" 18.00 Zgadnij kto i co — zagadka muzyczna 18.30 „Biedna miłość" — słuchowisko 19.40 Wiadomości sportowe 19.45 Co czytać 20.00 Muzyka operowa 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.30 „Ziarna polskie po świecie" — feljeton 21.45 „Olimpjada tenorów" — aud. konkursowa 22.05 „Tańczymy" Mała Orkiestra P. R.

Poniedziałek, dnia 3 lutego 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Muzyka salonowa 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.15 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Kwintet Henryka Golda 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 Muzyka lekka 16.45 „Szopka muzyczna" 17.00 Czy nauka demoralizuje kobiety — pogadanka 17.20 Maurice Dellanoy — Rapsodja na saksofon, trąbkę, wiolonczelę i fortepian 17.50 Pogadanka Brunona Winawera 18.00 „Canzonetty i arje operowe starych mistrzów bel-canta" 18.30 Czy ryby naprawdę są nieme" — pog. dla dzieci 18.55 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Audycja żołnierska 20.30 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współcz. 21.00 „Mozaika muzyczna" 21.30 Wieczór literacki poświęcony Janowi Kochanowskiemu 22.00 8-my koncert historyczny 23.05 Muzyka tan.

Wtorek, dnia 4 lutego 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.30 Koncert orkiestry kameralnej Adama Hermana 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.15 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Sekstet Jadwigi Klechniowskiej 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.15 Drobne utwory fortepianowe 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Historja herbaty — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 Encyklopedja mówiona 18.00 11-ty koncert z cyklu „Kwatery smyczkowe Haydna" 18.30 Poeta mistyk — szkic literacki 18.55 Krok naprzód w naszem łąkarstwie — pogadanka 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 „Róża Stambułu" — operetka 21.45 Ryszard Agner — fragmenty z dramatów muzycznych 22.30 Witaminy w pożywieniu człowieka — odczyt dla lekarzy 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 5 lutego 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Kobiety zasłużone — pogadanka 12.30 Koncert zespołu Haliny Adamskiej 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.15 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Muzyka baletowa 16.00 Zagadki muzyczne — dla dzieci 16.20 Koncert Chóru „Eryano" 16.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja 17.00 Dlaczego jestem tak niezadowolony — odczyt z cyklu „Dyskutujmy" 17.20 Orkiestra Tad. Seredyńskiego 17.50 Świat się śmieje 18.00 Recital śpiewaczy Stefanji Millerowej 18.30 Skrzynka ogólna 18.55 Wesołe opowiastki góralskie — pog. 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Reportaż aktualny 20.00 Po jednej piosence 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współcz. 21.35 Źródła stałego kryzysu — szkic literacki 21.50 O tradycji kupieckiej — pog. dla kupców 22.00 „Olimpjada tenorów" — aud. konkursowa 22.05 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 6 lutego 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Poranek muzyczny dla młodzieży 13.00 Rytmy taneczne 18-go wieku 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.15 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Mozaika muzyczna 16.00 Gadaninka Starego Doktora 16.15 Muzyka polska 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 O samokształceniu — „Czytanie książek" — pogadanka 17.15 Muzyka francuska 17.50 Książka i wiedza — O książce Williama Bragga 18.00 Kwintet salonowy Wiesława Wilkosza 18.30 Film, plastyka, architektura 18.40 Jak spędzić święto 18.55 Nowiny leśne 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Sabat oper — lekka audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrona przeciw lotniczo-gazowa — pogadanka 21.00 „Paweł zabija Gawła" — słuchowisko 21.45 Nasze pieśni 22.05 Johannes Brahms. op. 115 Kwintet klarnetowy 22.35 Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen 22.40 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 7 lutego 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.40 Koncert w wyk. Ork. Kameralnej 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.15 Wiadomości o eksporcie polskim. 15.30 Arje i pieśni w wyk. Jana Kiepury 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert orkiestry Tad. Seredyńskiego 16.45 „Chwilka pytań" — dla dzieci 17.00 Reportaż 17.15 Minuta poezji 17.20 Muzyka taneczna 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Ballady Adama Mickiewicza z muzyką Karola Loeyego 18.30 Pogadanka aktualna 18.40 Pogadanka społeczna 18.55 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Komunikat śnieżowy 19.50 Biuro Studjów rozmawia ze słuch. P. R. 20.00 Psie życie — monolog 20.10 Koncert symfoniczny 22.30 Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen 22.35 Skrzynka techniczna 22.50 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 8 lutego 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 O organizacji hodowli koni — pogadanka 12.25 Melodje operetkowe 13.25 Chwilka gosp. domowego 14.30 Muzyka salonowa 15.00 Igraszki romantyczne — fragment z powieści Piotra Choynowskiego 15.15 Nasz handel morski 15.30 Koncert zespołu Pawła Rynasa 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 Wesoła audycja dla dzieci 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Z sekretów stolicy — „Pytje i Kassandry" — reportaż 17.15 Nowości z płyt 17.45 Świat naszych zwierząt 17.50 „Karłowicz w Tatrach" — reportaż muzyczny 18.15 Polskie utwory fortepianowe w wyk. Heleny Ottawowej 18.40 Przegląd wydawnictw 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Koncert w wyk. orkiestry P. R. 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 „Szepty balowe" — obrazki karnawałowe 22.30 Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen 22.35 Muzyka taneczna.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 13)

Anielcia pochwaliła Chaima za tą przezorność, nie wiedzieli bowiem, jak długo będą się błąkać po morzu, a w takim razie brak zapasów i wody do picia byłby dla nich pewnym wyrokiem śmierci.

Dotychczas nie mieli jednak żadnej nadziei na wyratowanie własnego życia, ponieważ morze burzyło się ciągle, a od zatonięcia „Gloire de France" minęło zaledwie piętnaście minut.

„Tam, tam", zawołała nagle Anielcia, wskazując ręką na piętrzące się fale „widać jakiś ciemny przedmiot, może to beczka z wodą, o której mówił właśnie Chaim Stieglic".

Żyd chciał ją wciągnąć na pokład, skoro tylko przybliży się do statku. Chaim wytężył swój wzrok i zawołał po chwili:

„Oby Bóg dał mi dziesięć dobrych lat, moje panie, to nie beczka, ani drzewo, to jakiś człowiek, który walczy z falami morza".

„Człowiek, — człowiek!" zawołały równocześnie młode dziewczęta, a w głowie ich powstała jedna tylko myśl: „Ratujmy go, ratujmy!"

Był to rzeczywiście człowiek, który oddalony o jakieś trzy metry od promu, walczył z falami; było widać nawet jego głowę, gdyż bałwany zalewały go co chwila, starając się pociągnąć nieszczęśliwego na dno morza. Ten człowiek odznaczał się widocznie niezwykłą siłą, gdyż zawsze wydostawał się z otchłani, wiosłował rękami i nogami i starał się dopłynąć do łodzi.

Rozbitki nie posiadali wioseł, ani steru i dlatego nie mogli kierować statkiem podług swojej woli. Musieli więc stać bezczynnie i patrzeć, czy się uda topiącemu dobić do promu. Anielcia i Elżbieta były jednak tak wzruszone, że się natychmiast odwiązały, by od wypadku móc podać pomocną rękę nieszczęśliwemu człowiekowi.

„Zlitujcie się", krzyczał tonący, „weźcie mię do siebie".

„My chcemy wyratować pana", zawołała gwałtownie Anielcia. „Płyń pan, staraj się przybliżyć do nas, święty Boże, jeżeli teraz porwie pana fala, to wszystko stracone".

Te słowa dodały nowej otuchy tonącemu, rzucił się ostatnim wysiłkiem nad falę i w pół minuty później wypłynął tuż obok promu, wystawił głowę i uchwycił się oboma rękami za żelazną sztabę, która trzymała całą balustradę.

Z fal wynurzyło się powoli całe ciało, a słaby głos zawołał:

„Podnieście mię, — weźcie do siebie, — ja już nie mam sił!"

„To jakiś stary mężczyzna", zawołała Elżbieta, „widzicie jego siwą brodę i głowę, ratujmy go i podnieśmy wspólnemi siłami".

„Tu niema miejsca na cztery osoby", zawołał Chaim, „możemy stracić równowagę i wywrócić się, — a co wtedy robić, to nieszczęście, powtarzam, nieszczęście".

„Tak, byłoby nieszczęściem, gdybyśmy wyratowali tego człowieka", odparła Anielcia stanowczym głosem, „raczej utoniemy, gdyż, moi przyjaciele, ten mężczyzna w oczach Boga nie może zasługiwać na ratunek!"

Żyd i Elżbieta patrzyli na nią ze zdumieniem, — głos Anielci brzmiał ostro, jej twarz straciła całą swoją miękkość, a piękna dziewczyna spoglądała na starego złowrogim wzrokiem, który ciągle jeszcze trzymał się za żelazną sztabę ostatnią siłą rozpaczy.

„Panno Anielciu, co pani mówi", zawołał Chaim Stieglic, „dlaczego ten mężczyzna miałby sprowadzić na nas nieszczęście, — wygląda zupełnie na porządnego człowieka, — jeżeli się nie mylę, to na nawet w krawatce prawdziwą szpilkę"!

„Ach, gdyby nam dał nawet skarby całego świata", odparła Anielcia wzruszonym głosem, „nie bierzcie go na pomost, — nie wdawajcie się z nim, znam tego człowieka i mówię wam, że na całej ziemi niema gorszej i podlejszej kreatury.

„Elżbieto, strzeż się przed nim, on cię szpiegował, to on zamknął mię do tej strasznej celi na „Gloire de France", sądząc, że jestem lady Ravington. Gdyby nie wasza pomoc, to bym była zginęła straszliwą śmiercią".

Z ust starego wydarł się nie dający się określić krzyk, wzniósł się do góry i chciał wejść na pomost, lecz w tej chwili opuściły go siły i osunął się znowu do wody; było widać, że się trzymał za sztabę ostatnim wysiłkiem woli.

Anielcia pochyliła się, tak że patrzyła mu teraz wprost w oczy, mierząc go przeszywającym wzrokiem.

„Poznajesz mię ,doktorze Morizano?" zawołała, „czy wiesz, że nadeszła godzina obrachunku? — Podły człowieku dzisiaj odpłacę ci się za cierpienia mojej biednej, nieszczęśliwej matki, dzisiaj wywdzięczę się za zbrodnię, którą popełniłeś na mojej osobie. Teraz obronię przed tobą lady Elżbietę Rainvgton i uwolnię całą ludzkość od podłego zbrodniarza. Precz, nędzniku, — utop się, — doktorze Morizano, plago nieszczęśliwych warjatów, z tobą nie chcę mieć nic więcej do czynienia!"

„Ratuj mię, — ulituj się", wykrztusił Morizano ochrypłym głosem, — „o, ty nie wiesz, ilem wycierpiał, walcząc z temi falami, — przebacz ,— daruj wspaniałomyślnie, — jestem starcem, — siły mię opuszczają, — litości!"

„Anielciu, jak możesz tak obojętnie słuchać tych błagań", zawołała Elżbieta, „twoje serce jest zwykle pełne dobroci, zważ na jego łzy i prośby; straszna próba, która go dzisiaj spotkała, byłaby nawet za dużą karą dla największego zbrodniarza".

„Mojem zdaniem", — dodał żyd, „chociażby był ostatniego rodzaju przestępcą, — to dzisiejsza kąpiel pozostanie mu zawsze w pamięci ,— panno Anielciu, niech się pani zlituje!"

Chaim chciał się pochylić i dopomóc Morizanowi do wdrapania się na łódkę.



Następcą tronu angielskiego będzie król Edward VIII. najstarszy syn króla Jerzego V, były książę Walji.

Lecz Anielcia odsunęła go na bok stanowczym ruchem ręki .

„Nie dotykaj go", zawołała na żyda, który cofnął się przed jej groźnem spojrzeniem, „nie wiesz, co czynisz, a i ty, Elżbieto, nie przeczuwasz pewnie, kogo wzięłaś w obronę!"

„Ten człowiek zasłużył stokrotnie na śmierć i niechaj dzisiaj spełni się to, na co już dawno zasłużył!"

Doktór Morizano krzyknął nagle przeraźliwym głosem i począł wdrapywać się gorączkowo na żelazną sztabę.

„Ratujcie mię!" wrzeszczał nieludzkim głosem, podobnym do wycia obłąkanych, „za mną pokazuje się rekin — morska hiena"!

Tuż obok promu, na którym znajdowali się nieszczęśliwi bohaterowie, pokazał się ciemny, długi przedmiot, pokryty białą pianą.

Nie był to jednak martwy przedmiot, chociaż na pierwszy rzut oka wyglądał jak belka unoszona przez fale; poruszał się, zwiększał i zmniejszał, przybliżał się do Morizano i cofał się znowu, — teraz podniósł się z wody a z ust trzech osób, znajdujących się na pomoście, wydarł się okrzyk przerażenia, — przed sobą zobaczyli rozwartą paszczę rekina.

„Będzie zgubiony, jeżeli go nie wyciągniemy", zawołała Elżbieta, „następna sekunda rozstrzygnie o życiu tego człowieka".

„Jaka straszna ryba", rzekł Chaim, drżąc ze strachu na całem ciele, — „ja lubię bardzo ryby po żydowsku, z rodzynkami i czosnkiem ,ale teraz nie chcę ani widzieć takiej ryby".

„Zlitujcie się!" krzyczał Morizano, a głos jego brzmiał hen ponad fale, „chcecie gwałtem, bym umarł straszną śmiercią, w takim razie nie zasługujecie na nazwę ludzi! O, już zbliża się, idzie prosto na mnie, — jestem stracony!"

„Weźcie go na prom", zawołała równocześnie Anielcia złamanym głosem, „droga matko, przebacz mi, że ratuję twego kata, — nie mogę patrzeć obojętnie na jego pewną śmierć, — wiem, czuję to, że byłoby lepiej, gdybym wytrwała w moim pierwotnym zamiarze, Bóg jednak obdarzył mię czułem sercem, które błaga o litość!"

Po chwili doktór Morizano znajdował się na pomoście, — żyd wyciągnął go na prom, akurat w tym momencie, gdy go miał złapać rekin.

Doktór Morizano leżał bez życia u stóp Anielci, — urocza dziewczyna zakryła swą twarz rękami, a z ócz spadały jej duże łzy, podczas gdy fale unosiły dalej dziwny statek.

CVIII.

Świetlany promień w ciemności.

Hrabia Zygmunt powrócił z całą swoją rodziną na zamek Sokolskich.

Niechętnie opuszczał Paryż, gdyż nie nęcił go wcale pobyt w tym starym pałacu. Drżał wprost na myśl, że zobaczy biedną obłąkaną, za której los tylko on był odpowiedzialny.

Było mu nadzwyczaj przyjemnie w tym dużym, gwarliwym Paryżu. Tutaj mógł zapomnieć o swoich cierpieniach, nie widział ciągle przed sobą zjawiska biednej warjatki, któreby mu przypominało występek młodości, — ten jeden fałszywy krok, który miał do zarzucenia sobie.

Znajomość z Elzą, pozbawiona wszelkiej sztywności, napawała go uczuciem radości. Oddawna już nie była tylko jego przyjaciółką, gdyż w głębi duszy uważał ją za swoją narzeczoną.

Chętnie byłby poślubił to ukochane dziewczę; nie pozwalało mu jednak na to jego prawe serce i obecność nieszczęśliwej obłąkanej.

On i Elżutka nie chcieli wyjawić swej miłości przed całym światem, ani uwieńczyć ją kwieciem małżeńskiego szczęścia, jak długo żyła owa biedna kobieta, która posiadała na niego pewno prawo.

Zygmunt uważał się za związanego, jak długo na zamku Sokolskich żyła i oddychała biedna Alma. Elżutka podzielała zupełnie jego zdanie. — Musieli cierpieć i odmawiać sobie największego szczęścia i słodyczy, dopóki anioł śmierci nie raczy uwolnić Almę od ziemskich boleści. — Wtedy dopiero spadną więzy, — i rozluźnią się okowy, — wtedy będzie znowu wolny, jak ptak. Gdy Zygmunt myślał o tem szczęściu, które go czekało w przyszłości, to ciało jego przebiegało rozkoszne drżenie.

Równocześnie jednak zachodziły mu oczy łzami, opanowywały go głębokie wzruszenie i lekka wątpliwość, podczas gdy usta szeptały:

„Może będzie wtedy za późno, by skosztować jeszcze tego szczęścia?"

Rzadko można spotkać dwoje ludzi, którzyby się tak bardzo kochali, jak Zygmunt i Elza, — takie dwie istoty, które zdawały się być stworzone tylko dla siebie, — te dwie czyste, szlachetne dusze. Nikt nie zakreślił im granic, którychby im nie wolno było przekroczyć, — nikt bowiem nie miał prawa pociągać Zygmunta i Elżutkę do odpowiedzialności, gdyby nawet w szale namiętności oddali się sobie, wzajemnie, — ich miłość była dotychczas czysta bez skazy, tak, że mogli spoglądnąć każdemu śmiało w oczy, nie potrzebując się czerwienić.



Powyżej reprodukujemy zdjęcie z malowniczej wyspy greckiej Korfu, położonej na Morzu Jońskie
Tu były cesarz niemiecki Wilhelm II posiadał wspaniale wyposażony pałac.

Widywali się codziennie, — kochali, jak para gołąbków, — nie mieli przed sobą żadnych tajemnic, — dzielili wspólnie radość i boleść, — Elżutka była wierną, oddaną powierniczką Zygmunta, — a on jej najlepszym przyjacielem.

Cichaczem zawarli ze sobą umowę, że ów wspaniały kwiat małżeństwa, który tą najwznioślejszą ludzką instytucję obdarza uroczą, złocistą ozdobą, na razie musi zostać wykluczony z ich przyjaźni.

Trzymali się za ręce, patrzyli spokojnie na siebie — i to było wszystko na co im pozwalała przyjaźń.

Zygmunt nie otoczył nigdy ukochanej dziewczyny swoim uściskiem i nie przytulił ją do piersi, — a na karminowych wargach Elżutki nie spoczął ani jeden pocałunek najdroższego kochanka. Jeżeli siedzieli razem do północy i opowiadali sobie różne rzeczy, które wydawały się im ciekawemi i pięknemi, to Elżutka na dobranoc podawała Zygmuntowi tylko rękę i odchodziła do swego pokoju.

W sypialni spoczywała tak pewnie i spokojnie, jakby przed drzwiami stał cherubin z płomiennym mieczem, by oddalić każdego, ktoby chciał zamącić jej czarodziejskie sny.

Straż anioła była jednak zupełnie zbyteczna.

Zygmunt nie odważyłby się nigdy na zburzenie duchowego spokoju umiłowanej dziewczyny, nawet gdyby z tego powodu musiał znosić męki, które rzadko jaki mężczyzna zdoła wytrzymać. Szanował za bardzo Elzę, by ją miał poniżyć do roli kochanki, ponieważ ta dziewczyna miała zostać kiedyś jego żoną!

W przyszłości! — Ach, kiedyż to nastąpi, — kiedy zakwitnie im wiosna miłości, której nie zaznał dotychczas w swojem życiu?

W każdym razie Zygmuntowi było przyjemniej mieszkać w Paryżu, gdzie go nikt nie obserwował ani nie kryty-
kował jego stosunki z Elzą. W Par
żu czuł się wolnym od wszelkich p
dejrzeń, podczas gdy w tej małej, p
skiej rezydencji musiał zważać na ca
otoczenie i nie mógł ukryć się prz
natrętnemi oczyma. Lecz i z innej str
ny namawiano go usilnie do tego.

Lola wysilała się, nakłonić ojca
opuszczenia Paryża w towarzystwie E
żutki i Kazimierza i do zamieszkania
zamku Sokolskich.

„Kochany, drogi ojcze", rzekła je
nego dnia, „zbliża się moja ciężka g
dzina. Nie życzę sobie jednak, by mo
dziecko przyszło na świat w Paryż
Niechaj ujrzy światło dzienne w gnie
dzie naszych przodków, na zamku S
kolskich, by kiedyś mogło powiedzie
„Jestem z rodu Zamskich, ale mo
matka dała mi życie w siedzibie S
kolskich," — Ten hałaśliwy Paryż n
przypada mi wcale do gustu, — każ
młoda matka tęskni za samotności
W naszym pięknym, cienistym ogr
dzie będę nosiła na rękach moje dzie
ko, — w milczących altanach pałacow
go ogrodu przyłożę je do piersi i p
zwolę mu pić ze źródła życia, — je
maleńkie, dziecinne oczy niech spo
ną na tym zamku, z którego wyszła je
matka. Losy odmówiły mi tego,
niech więc zapewnię przynajmniej
szczęście własnemu dziecku. Drogi
cze, ty nie odmówisz mi i spełnisz m
ją prośbę?"

Zygmunt spełniał zawsze każdą pr
bę swojej Loli — nie odmawiał nig
córce, robił co tylko leżało w je
mocy.

Miał także i inny powód do spełnien
życzenia Loli, powód tkwiący w owe
kłamstwie, którem Lola oczerniła sw
jego męża przed własnym ojcem.

Wówczas obwiniła Kazimierza, że j
graczem, a Zygmunt uwierzył temu p
dłemu oszczerstwu.

Nigdy nie mówił o tem z Kazimierzem, — nie robił mu wyrzutów, — niy nie żądał od niego usprawiedliwienia, że stracił posag Loli. Ale zata strzała, którą Lola rzuciła w serbiednego mężczyzny, utkwiła głębo— i od tej chwili między Zygmuna Kazimierzem istniało małe nieporumienie, które wprawdzie na zeętrznie było widoczne, lecz mimo to żyło na nich.

ygmunt sądził, że najlepiej byłoby jego zięcia, gdyby opuścił paryskie arzystwo i zamieszkał na cichym iku Sokolskich, gdzie przynajmniej mogła go spotkać żadna pokusa. było tam zielonego stolika, ani wielh wyścigów i innych kuszących po, które niszczą wyższe sfery francuej stolicy i rujnują powoli, ale peie wiele pierwszych rodzin.

ygmunt już dawno życzył sobie pojomu, by Kazimierz opuścił Paryż em z Lolą, brak mu tylko było do odpowiedniego pozoru.

rośba Loli sprzyjała jego zamiarom, nówił o tem z Kazimierzem, który nak ku najwyższemu zdziwieniu oadczył, że również pragnie opuścić yż.

tak stary Walenty, strzegący zamku olskich, otrzymał polecenie, upokować rodzinne pokoje i przygotowszystko na przyjęcie.

ednego dnia Zygmunt z całą rodziną esiedlił się na zamek swoich przodi urządził się o ile możliwe jak godniej.

okoje pierwszego piętra zarezerwoo dla Zygmunta, na drugiem zaś rze zamieszkał Kazimierz ze swoją dą, piękną żoną. Ze sypialni Loli wadziły na pierwsze piętro kręcone ody, tak, że Lola mogła odwiedzać jego ojca, nie potrzebując się wcale azywać na głównych schodach.

CIX.

Obłąkana

lżutka prosiła usilnie, by jej pozwo zamieszkać w małym pokoju ogroego domu.

ygmunt nie chciał się na to zgodzić czył sobie, by kochanka mieszkała szkała w wspaniale urządzonych mnatach ,jak przystało na wielką ią.

Będę spełniać również nadal mój wiązek", oświadczyła mu Elza, ględem biednej Almy. Ona potrzebuwiej opieki. Dobrze się stało, ny wrócili na zamek Sokolskich, poważ zdrowie biednej obłąkanej poszyło się znacznie".

ygmunt nie miał odwagi zobaczyć y i drżał przed tą chwilą. Dowieszy się jednak od Elżutki, że stan rej budzi pewne obawy, udał się ią do ogrodu.

dziwił się, zobaczywszy Almę, która znie znacznie lepiej wyglądała. Nie wcale tak słabą i chudą, jak przed. Jej twarz nie miała tego żółtego oru, właściwego umysłowo chorym. postać przybrała pewne zaokrąie, — tylko włosy może nieco przy-



W Monachjum (Niemcy) wykonał niemiecki malarz i dekorator Sailer w śniegu oryginalny wóz do przewozu piwa ze zaprzęgiem, który widzimy na ilustracji.

bielały, otaczając białe oblicze bujnymi lokami.

Chora troszczyła się widocznie o swoje suknie, — przystąpiła do Zygmunta w sukni, zrobionej z dobrej materji.

„Jak się masz, Almo?" zapytał Zygmunt, spoglądając na nią załzawionem okiem.

„Dziękuję ci, Zygmuncie", odpowiedziała, „czuję się znacznie lepiej. Patrz ubrałam się troskliwie, sądząc, że mi ją dzisiaj przyprowadzisz".

„Kogo?"

„Anielcię — moje dziecko!"

„Ty — chcesz ją widzieć!" zawołał Zygmunt, „oh, co za szczęście, że jasny promień padł przecie na twój ściemniony umysł — Tak, zobaczysz ją! Nasza Anielcia — którą obecnie nazywamy Lolą, — zjawi się wkrótce przed tobą".

„Anielcia, — Anielcia!" rzekła obłąkana, jakby obstawała przy tem, by nie nazywano inaczej jej dziecka.

Zygmunt i Elżutka, zamieniwszy jeszcze kilka słów z nieszczęśliwą kobietą, wyszli z pokoju. Zygmunt był przekonany, że w chorobie nieszczęśliwej Almy nastąpiło bezwarunkowe polepszenie. Lecz Elza wstrząsała przecząco głową.

„Oh, Zygmuncie, mylisz się", rzekła, „obserwowałam ją przedtem, — niestety jest jeszcze ciągle chora, jej stan nic się nie polepszył. Jej obłąkanie przybrało teraz tylko inne formy. Żyje w szaleństwie, że jest panią tego zamku. Cały czas, który minął od tej strasznej godziny, w której ją opuściłeś, zdaje się nie istnieć dla niej. Nie przypomina sobie, że była w zakładzie doktora Morizano. Jestem przekonana, że myśląc o Anielci, przedstawia ją sobie jako małą dziecinę, liczącą zaledwie rok życia. Uważa się za dwudziestoletnią kobietę i żyje w tem silnem przekonaniu, że się z nią ożeniłeś, i że w przyszłości wszystko zwróci się ku lepszemu".

Zygmunt opuścił głowę na piersi, — ta wiadomość wzruszyła jego całem jestestwem.

Nagle wzniósł głowę, podał Elzie rękę i przemówił pieszczotliwym ,cichym głosem:

„Co za szczęście dla biednej Almy, że przynajmniej żyje w tej iluzji! Czyż nie jest lepiej, gdy obłąkana śni szczęśliwie, aniżeli miałyby ją prześladować potworne mary! Jak strasznie cierpiała przedtem, gdy okryta perlistym potem, patrzała z przestrachem na drzwi, sądząc, że w następnej chwili zjawi się morderca, którego nasłano, by ją zamordował. Nie, choroba weszła mojem zdaniem we fazę polepszenia. Sam nie mogę sobie wytłumaczyć, jak się to stało".

„Wielmożny panie hrabio, jestem w stanie, to objaśnić," odezwał się głos za Zygmuntem, który, obróciwszy się, zobaczył przed sobą starego Walentego.

„Ach, toś ty, — masz mi co do powiedzenia?"

„Mamy wszystko do zawdzięczenia tylko doktorowi Hallerowi", zawołał stary sługa, a głos drżał mu, wymawiając to nazwisko, „on to sprawił znaczne polepszenie w zdrowiu biednej chorej. Gdy jej pokazał obraz młodej, panienki, wtedy — święty Boże, nie zapomnę nigdy tej chwili, — zdawało się jakby umysł nieszczęśliwej kobiety oświecił nagle jakiś dobroczynny duch. Uśmiechnęła się i zaczęła mówić zupełnie rozsądnie. Wówczas, panie hrabio, zapłakałem jak dziecko, widząc, jak stała przed tym obrazem ze złożonemi rękoma, z wzniesionym ku górze wzrokiem, podczas gdy duże łzy spadały jej na policzki".

„O tem nie wiedziałem ani słowa!" zawołał Zygmunt „Walenty, chodź z nami prędko do pokoju panny Elżbiety i opowiedz nam wszystko. Co za związek z tym obrazem? — Co przedstawiał? — Czyje oblicze wywarło takie głębokie wrażenie na biedną obłąkaną?"

Zygmunt, wymawiając te słowa, otwarł równocześnie drzwi i całe towarzystwo weszło do skromnie urządzonego pokoju Elżutki, do którego można było zastosować słowa Goethego: „Natura stwarza tutaj czyste anioły".

„Walenty, opowiadaj, co widziałeś i słyszałeś, tylko wyraźnie i ze związkiem. Więc doktór Haller pokazał obraz biednej chorej?"

„Tak, panie hrabio, obraz przedstawiał dziewczynę. Ach, gdyby go pan był widział, — wprost anielska piękność! Rysy tchnęły taką szlachetnością—, jakby należały do jakiejś nadziemskiej istoty".

„Od kogo dostał doktór Haller ten obraz?"

„Przywiózł go ze sobą z Paryża".

„Ach, więc jest jego własnością?"

„Prawdopodobnie, panie hrabio!"

„I ten obraz wywarł na obłąkanej głębokie wrażenie?"

„Tak jest, panie hrabio!" Odtąd zmieniło się zupełnie całe usposobienie Almy. Jak wiadomo, przedtem była bardzo podejrzliwą i wołała ciągle: zamordowano mi moje dziecko. — Całemi godzinami siedziała w rogu pokoju, obawiając się, by ją nie napadli zbrodniarze. Zaniedbała swoje ubranie, — i zdzierała ze siebie, w co ją tylko ubrano. Ukrywała się za meblami, — krzyczała i płakała. Nagle zmieniło się jej całe usposobienie, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Następnego dnia zawołała swoją pokojówkę i rozkazała:

„Ubierz mię, dzisiaj wieczorem zobaczę moje dziecko."

„Następnie kazała przygotować kąpiel. Pokojówka ubrała ją w nową suknię, a biedna chora troszczyła się o najmniejszy szczegół.

„Chcę się spodobać mojemu dziecku!" rzekła, układając równocześnie siwe włosy, które spadały w nieładzie na jej wychudłą, zapadłą twarz, „słyszysz, dzisiaj muszę być piękną i wystąpić odpowiednio przed moim dzieckiem. Następnie, dodała z lekkiem zakłopotaniem, „chcę spodobać się mojemu mężowi!" Drogi Boże, — powiedziała najwyraźniej: mojemu mężowi! Ach, żyła ciągle w tem szalonem mniemaniu, że jest hrabiną Sokolską."

„Biedna", zawołał Zygmunt z widocznem wzruszeniem, „oby pozostała nadal w tem szaleństwie. Odtąd wszyscy słudzy mojego zamku muszą tytułować ją hrabiną. Niech się nikt nie odważy wyjawić jej prawdę. Dla was wszystkich chora nazywa się teraz hrabiną Sokolską!"

Zygmunt poczuł w tej chwili serdeczne uściśnięcie swojej ręki. Elżutka stała obok i spoglądała na niego z wyrazem wdzięczności.

„I ten zwrot w usposobieniu chorej", mówił dalej Zygmunt, chodząc po pokoju w zamyśleniu, „odtąd się nie zmienił, — nieszczęśliwa nie popadła nigdy w ten straszny stan, który zaciemniał jej umysł i osłabił siły ciała?"

„Nigdy, panie hrabio", zawołał Walenty, „hrabina Sokolska pozostała nawet wtedy spokojną, gdy doktór Haller opuścił zamek. Epileptyczne ataki ustały zupełnie, tak że obecnie można jej zezwolić na przechadzkę po ogrodzie. Nie robi nikomu nic złego, — niebezpieczeństwo widocznie minęło".

Walenty chciał odejść, hrabia jednak zatrzymał go ruchem ręki.

„Wiesz, co się stało z doktorem Hallerem?" badał Zygmunt.

„Panie hrabio", odparł stary sługa, „zupełnie nic nie wiem, słyszałem tylko, że doktór Haller nie powrócił do Paryża".

„Nie rozumię tego, ponieważ stąd odjechał, a tyś go sam jeszcze zawiózł na dworzec. Był wtedy zupełnie zdrowy?"

„Tak jest, panie hrabio! Wyglądał na zdrowego mężczyznę, naturalnie zasmucił się bardzo, odebrawszy depeszę, którą go pan hrabia uwiadomił, że jego biedna matka umarła nagle w Paryżu".

„Tak, zginęła skutkiem łotrowskiego żartu!" zawołał Zygmunt. „Ktoś zatelegrafował stąd do nieszczęśliwej kobiety, że jej syn umarł na zamku Sokolskich, chociaż doktór Haller, jak ty zapewniasz, był zupełnie zdrowy. Przestrach i nieukojona boleść wtrąciły do grobu biedną kobietę".

„Niech Bóg ukarze tego łotra, który w tak podły sposób zniszczył ludzkie życie!" szeptał niewyraźnie Walenty.

Nie przeczuwał, że sam, nie wiedząc naturalnie o niczem, przyłożył własną rękę do tego szelmowskiego dzieła.

„Więc doktór Haller stąd odjechał?" pytał dalej Zygmunt. „A którym pociągiem?"

„Wieczornym, panie hrabio!"

„Był sam w przedziale, albo może zauważyłeś jakiego współpasażera?"

„Nie, panie hrabio, przypominam sobie zupełnie dokładnie, że doktór Haller był sam w przedziale, ponieważ miał zamiar się przespać".

„W czasie podróży wsiadł ktoś prawdopodobnie do tego przedziału", zauważył Zygmunt.

„Na Boga, pan podejrzywa, że na doktorze spełniono zbrodnię, podczas gdy jechał do Paryża?" zapytała trwożliwie Elżutka.

„Nie pozostaje nic innego", odparł Zygmunt, spoglądając poważnie na Elzę. „Cóż się więc stało z doktorem Hallerem; tylko zbrodnia mogła stanąć mu na przeszkodzie, że nie powrócił do Paryża, wiedział bowiem, że go czeka spełnienie świętego obowiązku. Zmarłą matkę trzeba było pochować. Sądzisz może, Elżutko, że zaszło coś takiego, co mu nie pozwoliło wziąć udziału w pogrzebie? Musiałaby to być jakaś nadzwyczajna okoliczność. Nie, jestem przekonany, że tylko zbrodnia zagrodziła młodemu doktorowi drogę do Paryża. — I gdzie znajduje się obecnie? Przeszło już kilka miesięcy! — Zniknął, — nikt go nie widział, — nikt nic nie słyszał, — zginął bez śladu, jakby się zapadła pod nim ziemia".

„Ciekawam, jak mogło przyjść do zbrodni?" badała Elżutka.

„Nie mogę ci tego objaśnić, ponieważ nie znam żadnych szczegółów", odparł Zygmunt, wzruszając ramionami. „Mojem zdaniem napadnięto go w pociągu. — Dziwne tylko, że nie znaleziono jego zwłok. Możebne jest jednak, że złoczyńcy wyrzucili przez okno trupa, gdy pociąg jechał przez most. Zresztą, nie wiadomo co się stało, — uważam atoli za swój obowiązek wybadać miejsce pobytu doktora Hallera. Poczyniłem już przedwstępne kroki, ale będąc w Paryżu robiłem poszukiwania tylko na francuskim terenie. Obecnie znajduję się w Niemczech, udam się więc o pomoc do niemieckich władz. Może odszukam ślad zaginionego."



Jak donoszą z Paryża, zmarła nagle młoda aktorka filmowa Mona Lys. Krótko po jej powrocie z Berlina, gdzie grała jedną z głównych ról w wersji francuskiego filmu, zasłabła na przyjęciu dla niej wydanem i w godzinę później zakończyła życie.

„Proszę mi darować, panie hrabio", przemówił stary sługa, „przypominam sobie jednak, że doktór na dzień przed odjazdem był bardzo niespokojny. Gdy powrócił z przechadzki, zauważyłem jego bladą i zmienioną twarz. Później obserwowałem, jak mówił do siebie półgłosem, sądząc, że go nikt nie widzi."

„Bóg raczy wiedzieć, co się stało z tym nieszczęśliwym", zawołał hrabia Zygmunt Sokolski. „Jestem zobowiązany mu do wdzięczności, od chwili w której zobaczyłem znowu biedną Almę.

„Lekarz spowodował rzeczywiście wielką zmianę w stanie umysłowo chorej. Sprowadził widoczną zmianę ku lepszemu. Przynajmniej uspokoił duszę biednej Almy. — I ty, stary Walenty, twierdzisz, że się to stało z pomocą jakiegoś obrazu?"

„Tak jest", zawołał stary sługa, „stawiam w zakład moją głowę."

Zygmunt przymknął na chwilę oczy, pokiwał następnie głową i przemówił:

„Szkoda, że nie mamy tego obrazu."

„Przeciwnie, panie hrabio", zawołał pospiesznie Walenty, „ten obraz znajduje się tutaj w zamku."

„Co — i to mówisz mi dopiero teraz? Myślałem, że doktór zabrał ze sobą ów obraz, gdy pakował swoje kufry."

„Początkowo miał nawet ten zamiar", mówił sługa, „tak, zdawało się nawet, jakby doktór Haller nie mógł się z nim rozłączyć, — powiedzmy wprost, — jakby ta dziewczyna, którą przedstawiał ów portret, była jego narzeczoną. — Ale biedna obłąkana, — to jest chciałem powiedzieć: pani hrabina Sokolska, prosiła usilnie, by go jej zostawił. Wylewała gorzkie łzy i była niespokojną, gdy lekarz nie chciał początkowo zadowolnić jej prośby, tak, że wreszcie był zmuszony jej darować ten obraz."

„Gdzie znajduje się ten portret?"

„W sypialni biednej obłąkanej!" objaśnił Walenty; „nie zauważyliście go

państwo nad łóżkiem hrabiny? — Pani hrabina strzeże go jak jaką relikwję. Codziennie stoi przed nim całemi godzinami i spogląda z widocznem zainteresowaniem na te anielskie rysy.

„I nie dziwię się zupełnie“, dodał stary sługa, „człowiek nie może się dosyć napatrzeć na tę piękną twarzyczkę, która uśmiecha się jak jasna gwiazda na niebie, albo jak piękny kwiatek, skąpany w wiośnianem powietrzu.“

„Muszę zobaczyć ten obraz“, zawołał hrabia, „może pani będzie łaskawa mi towarzyszyć. Udamy się razem do sypialni nieszczęśliwej kobiety.“

Zygmunt szedł obok Elżutki. Za nimi kroczył stary sługa.

Minęli kilka pokoi, które znajdowały się w ogrodowym budynku.

Elżutka otwarła małe drzwi i dała Zygmuntowi znak, by wszedł do wnętrza.

Stali na progu sypialni, w której sypiała zwykle biedna obłąkana.

Ich oczom przedstawił się dziwny widok!

Alma stała przed swem białem łóżkiem jak wtedy, gdy ją zobaczył lekarz. Skrzyżowała ręce na swej wychudłej piersi i spoglądała na obraz, wiszący naprzeciwko niej w zwykłych ramach.

Zygmunt nie widział jeszcze portretu, ani nie rozpoznał rysów, gdyż widok Almy wzruszył go tak gwałtownie, że tylko z trudem zdołał powstrzymać łzy, które mu się cisnęły do oczu.

W obliczu Almy, widocznem z profilu, nie było najmniejszego śladu owego bezmyślnego szaleństwa, które więziło dotychczas umysł obłąkanej.

W twarzy biednej warjatki malowała się cicha, bezgraniczna boleść. Oczy, które zwykle spoglądały dziko, przybrały obecnie wyraz niewysłowionej tęsknoty i czułości.

„Nie przeszkadzajcie jej“, szepnął Zygmunt; „czy nie wygląda, jakby się modliła? — Rzecz dziwna, ta nieszczęśliwa, która nigdy zamku nie opuszcza, do kościoła nie chodzi, — stoi przed tym obrazem i modli się!“

Tak, obłąkana Sokolska modli się, — jej wargi poruszają się, a z ust wychodzą łatwo dosłyszalne słowa:

„Święty Boże w niebiesiech, opiekuj się mojem dzieckiem. Niechaj pozostanie tak piękne, wzniosłe i czyste, jak spogląda z tego oto obrazu. Sprowadź mi moją Anielcię, niech serce matki ucieszy się widokiem swego najdroższego skarbu na ziemi. — Drogi Boże, Stwórco najwyższy, bądź mi miłościw i złącz biedną matkę z dziecięciem!“

Zygmunt zbliżył się powoli do chorej. Położył rękę na jej ramieniu i w tej samej chwili głowa nieszczęśliwej opadła na jego piersi.

Z jej oczu wytrysnął potok łez, a łono wezbrało morzem boleści.

Zygmunt tulił do siebie biedną kobietę, spoglądając równocześnie na obraz. Nagle z ust jego rozległ się przeraźliwy okrzyk. Elżutka i stary sługa przyskoczyli do niego. Widzieli, jak twarz hrabiego okryła się trupią bladością. Nie mógł oderwać od obrazu swoich oczu, który również i na Elżutkę zrobił duże wrażenie.

Jaka cudowna piękność spoglądała na niego z tych ram! Bujne loki otaczały to cudownie wyrzeźbione oblicze! Na czole panowała szlachetna duma i wspaniałomyślność! Usta szeptały jakąś cichą skargę, dodając portretowi złudzenie życia!

Największe wrażenie wywierały jednak oczy, w których odbijała się cała dusza. Zdawało się, że w następnej chwili zamkną się jedwabne rzęsy i strumieniem łez zaleją całe oblicze!

„Elżutko!“ zawołał Zygmunt, oddając w opiekę staremu słudze biedną kobietę, który ją zaprowadził ku krzesełku. Obłąkana upadła z płaczem na stołek. „Moja najdroższa przyjaciółko, spojrzyj na ten obraz i oglądnij go dokładnie! Znasz te rysy? Czy nie przypominają ci twarzy, którą już raz widziałaś?“

Elza wstrząsnęła głową przecząco.

„Nie widziałam nigdy tej twarzy!“ odparła. „W mojem życiu nie spotkałam się nigdy z tą dziewczyną, którą przedstawia obraz, — i twierdzę to z całą stanowczością!“

„Ah, zapomniałem“, zawołał Zygmunt, „wówczas, kiedy ona była u nas, nie było cię wtedy w domu! — Elżutko, jeżeli jesteś tak łaskawą, to idź i zawołaj Kazimierza. Albo nie, — — pozostań tutaj! Zabiorę ten obraz ze sobą i pokażę mu go w innem otoczeniu. Każę zawiesić ten portret na kilka godzin w moim pokoju.“

Zygmunt zbliżył się do łóżka i chciał zdjąć obraz ze ściany.

W tej samej jednak chwili rozległ się za nim okrzyk. — Walenty odskoczył na stronę. Obłąkana przyskoczyła!

Oczy jej płonęły dzikim ogniem, rysy zmieniły się do niepoznania, — patrzyła złowrogo na Zygmunta, stojąc tuż obok niego, — i zawołała głosem, podobnym do krzyku upiorów:

„Chcesz mi zrabować ten obraz? Weź moją krew serdeczną, — moje życie, — a pozostaw tylko obraz! Nie dam go za nic w świecie, nawet gdybym musiała walczyć do ostatka! O, los pozostawił mi jedyny ten skarb, — obraz mojego ukochanego dziecka i wy chcecie mi go zabrać?! O Zygmuncie, Zygmuncie, to jest nasze dziecko, twoja córka, — tak! Drogi, ukochany mężu, ciesz się razem ze mną na widok tego obrazu! Błagam cię, pozostaw mi ten portret!“

Głos obłąkanej, z początku ostry i nieprzyjemny, przybrał obecnie delikatne brzmienie; łzy tamowały jej oddech a w skardze biednej kobiety uwidoczniała się głęboka boleść. Zygmunt uspokajał nieszczęśliwą, tulił ją do piersi — i białą, wypieszczoną ręką gładził jej siwe włosy:

„Droga Almo, nie mam wcale zamiaru zabrać ci tego obrazu! Zważ jednak, że i mnie się podoba ten obraz, — i chcę właśnie kazać wymalować drugi, zupełnie podobny do tego! Przysięgam ci: ów portret otrzymasz zpowrotem, — pożycz mi go tylko na kilka dni!“

„Dobrze, przyrzeknij mi“, szepnęła Alma, „dotychczas dotrzymałeś zawsze słowa!“

Wyciągnęła swoje chude ręce i zdjęła ze ściany obraz.

W tym momencie, kiedy go chciała wręczyć Zygmuntowi, przyłożyła go prędko jeszcze raz do ust, całując ukochaną postać. — Następnie podała go Zygmuntowi i przemówiła wzruszonym głosem:

„Weź, on należy do nas wspólnie. — Oh, Zygmuncie, — Zygmuncie, gdzie jest nasze dziecko? Miałam taki długi sen, a gdybym się obudziła, nie było go więcej. Zygmuncie, powiedz mi, — kiedy, — kiedy zawarliśmy ślub małżeński?“

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. M. G. Sosnowiec. Wiersze dobre. Obydwa zostaną zamieszczone.

Zadania rozrywkowe nadeszły. Prosimy o dalszą współpracę z nami.

Za pozdrowienia dziękujemy i przesyłamy Panu serdeczne uściski dłoni.

„Zebrzydowianin“. „Moje Powieści“ powinien Pan otrzymać zawsze najpóźniej w sobotę. Winę nieregularnego dostarczania ponosi prawdopodobnie poczta. Serdecznie pozdrawiamy.

CHWILA ZASTANOWIENIA

M A G I C Z N E S C H O D Y

uł. F. Gałecki.



Poprzestawiać litery w rzędach poziomych tak, aby otrzymać wyrazy czytane pionowo i poziomo w jednakowem znaczeniu.

S Z A R A D A

uł. St. W.

Drugie — to gaz, chemikom dobrze znany.
Trzecie — metalu znak, w chemji używany,
Pierwsze — przyimek wspak. *W całość* gdy złożycie,
Tytuł pewnego utworu zobaczycie.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 7 lutego br.

Rozwiązanie zadań z numeru 3. „Moich Powieści“: M a g i c z n y k w a d r a t: 1) Koran. 2) Obora. 3) Rowek. 4) Arena. 5. Nakaz. „P o n i t c e d o k ł ę b k a“. 1) A. 2) Ag. 3) Aga. 4) Agat. 5) Agata.

Trafne rozwiązania nadesłali: Wacław Bultrowicz — Gniezno, Djonizy Janicki — Gniezno, Antoni Domagała — Dobrzec, Leokadja Krawczykówna — Lipnica, Melanja Tobólska — Wybranowo, „Żołnierzyk z Grodu Lecha“, „Rom — Mar“, Lidja Kończuchidzówna — Dźwierżno, Eryk Breguła — Świętochłowice, Jerzy Kamionka — Bydgoszcz, A. K. — Bożejewice, Gertruda Kazaniecka — Kamionki, Lucyna Pankówna — Głowno, „Czarny Olek“.

Nagrody w drodze losowania otrzymali pp.: Melanja Tobolska z Wybranowa i Antoni Domagała z Dobrzca.

HUMOR

Rozmowa w salonie

Panna Brunhilda Kon zapytała raz swego znajomego Leszka Kaca:

— Panie Leszku, co mi pan da na moje dwudziesteczwarte urodziny?

Młody człowiek zastanowił się przez chwilę, poczem rzekł:

— Drugie tyle.

Następstwa krótkowzroczności

— Jakże mógł pan wpaść w tę przerębię? Czy nie czytał pan napisu ostrzegawczego, że w tem miejscu nie wolno się ślizgać?

— Widziałem tablicę, ale jestem krótkowidzem i musiałem napis przeczytać z bliska.

W obawie

— Na dworcu w Koluszkach stoi matka z sześcioletnim chłopczykiem. Na dworzec wjeżdża z rozpędem express z Warszawy. Malec, zaintrygowany wielką lokomotywą, przygląda się ciekawie o lbrzymim kołom, śrubom i dźwigniom.

Nagle rozlega się ostrzegawczy głos matki:

— Mieciu, odejdź od lokomotywy!... Jeszcze coś tam zepsujesz i będą musiała za to płacić!

Po złodziejskiej wizycie

Po powrocie z miasta pani zwraca się do służącej:

— Marysiu, czy był tu kto podczas mojej nieobecności?...

— Owszem, prosze pani... — odpowiada Marysia. — Był tu jakiś mężczyzna, ale tak mi się jakoś wydawało, że to złodziej...

— Po czem to Marysia poznała?...

— Ano bo otworzył drzwi własnym kluczem, ściągnął pana futro z korytarza i zaraz uciekł!

Bez recepty się nie sprzedaje

Do apteki wchodzi babina.

— Czego pani sobie życzy? — pyta aptekarz.

— Arszeniku za dziesięć groszy...

— A poco pani arszenik?...

— Na szczury... Rady dać sobie nie mogę...

— Ale bez recepty arszeniku nie wolno nam sprzedawać, bo to trucizna...

To miłe

Dentysta pogniewał się z żoną. Pacjent, który słyszał to przez drzwi powiada:

— A będzie mi pan mógł w obecnym stanie ząb wyrwać?

— Ząb? Cały łeb panu urwać mogę. Taki jestem wściekły.

Co mówi filozof?



— Grzyby rosną zawsze w wilgotnych miejscach, dlatego mają kształt parasola.

— Pesymista jest człowiekiem, który tylko wtedy jest zadowolony, kiedy jest nieszczęśliwy, ale i wtenczas nawet jest w złym humorze.

— Monolog jest dialogiem dla jednej osoby.

Wytłumaczył po swojemu

Wojciech Dyndała, chłopek spod Krakowa, był poraz pierwszy w Warszawie. Po powrocie do rodzinnej wsi, wypytują go sąsiedzi o warszawskie cuda.

— A ten pomnik Kopernika sąsiad widział?

— A widziałem......

— Jak on wygląda?...

— Ano nic... Siedzi sobie taki chłop w żoninym szlafroku na takim kufereczku i pyrki nożem obiera....

Złośliwość

Na rogu ulicy stoi żebrak z wyciągniętą ręką. Przechodzącą ulicą przystojna pani wciska mu do ręki dziesięć groszy.

— Nic z tego, proszę pani... — odpowiada żebrak.

Dama przygląda mu się ze zdziwieniem.

— Cóż to ma znaczyć? — pyta.

— Czy nie czytała pani, że w New Yorku, w Ameryce, pewien żebrak zakochał się w damie, która dała mu na ulicy 10 dolarów i następnie poślubił ją, ponieważ jak się potem okazało, był to młody miljoner, który w tem przebraniu szukał szlachetnej kobiety?

— No więc cóż z tego?

— Chciałem paniusi tylko powiedzieć, że z temi głupiemi dziesięcioma groszami nie ma paniusia co liczyć na taki przypadek!

Zaliczka

Do dyrekcji tramwajów, do działu „Rzeczy zgubione", zgłosił się interesant.

— Proszę pania, wczoraj w tramwaju linji 8 zgubiłem dwudziestozłotowy banknot. Czy przypadkiem nie znaleziono go?

Urzedniczka sprawdza w książce:

— Nie, prosze pana, ktoś tylko znalazł 5 zł

Interesant zastanawia się chwilę i powiada:

— No, trudno, niech pani da a conto te 5 złotych!

Wesołe przestępstwo

— Zaco dostaliście się do ula? — pyta więzień nowego towarzysza niedoli.

— Brałem czynny udział w wielu weselach.

— Przecież to nie jest żadne przestępstwo!

— Tak, ale zawsze jako — pan młody!

Dokładna informacja

Dwóch podróżnych, jadących do Sowietów przez ciekawość, wszczyna w pociągu rozmowę.

— Pan pierwszy raz jedzie do Moskwy?

— Po raz trzeci.

— W jakim hotelu radzi mi pan stanąć?

— W National'u.

— Czy mieszkał pan tam?

— Nie! Ale mieszkałem we wszystkich innych.

Pomysłowa reklama

Pan Hieronim, przechodząc ulicą, ujrzał na chodniku błyszczącą dziesięciozłotówkę.

Najpierw obejrzał się ostrożnie, potem niby to przypadkowo opuścił chusteczkę i wreszcie schylił się, by podnieść monetę... Ale pieniądz był jakgdyby przylutowany do chodnika.

— Co to?! — myśli pan Hieronim. — Nie można oderwać?...

Wypręża się jeszcze raz — napróżno. W tej chwili otwierają się obok drzwi składu z materjałami piśmiennemi, na próg wychodzi właściciel i powiada:

— Widzi pan jaki dobry jest nasz klej?!... — Może dać panu flaszkę?

Grzeczne dziecko

Jędruś siada do kolacji.

— Jędrusiu, umyłeś rączki? — pyta matka.

— Oczywiście!... — odpowiada malec. — Jeszcze wczoraj!...

Piotruś

Piotruś jest bardzo rozgarniętym chłopczykiem. Wczoraj, naprzykład, matka zwraca się doń:

— Piotrusiu, czy dałeś małpce pięć groszy?

— Tak, mamusiu...

— A co małpka zrobiła z temi pieniędzmi?

— Oddała je swojemu tatusiowi, który stał z boku i kręcił katarynkę....

Jak to zrobić?

Pan Filip udał się do dentysty.

— Uprzedzam pana — rzekł w pewnej chwili dentysta, że teraz będzie bardzo bolało... Radzę panu mocno zacisnąć zęby i szeroko otworzyć usta!...

Ale wpadł

Pewien gość wysiadłszy na małej stacyjce, długo i próżno rozglądał się za, snać obiecanemi końmi. Wreszcie widząc, że jedna bryczka też uporczywie na kogoś czeka, podchodzi do woźnicy.

— Słuchajcie, a czyście wy przypadkiem po mnie nie przyjechali?

I mnie się tak zaraz wydawało, proszę pana łaskawego, ale państwo mówili mi w domu, że mam czekać na gościa z czerwonym nosem i wielkiemi stopami, a tu już dwóch takich samych było, więc nie mogłem pana odrazu rozpoznać.

„Lepsza sfera"

— Panie hrabio, pan jest bardzo niedokrewny. Muszę panu zapisać jakiś środek, aby pan miał więcej krwi.

— W każdym razie proszę uważać, aby to była błękitna krew.

Lekka odprawa

— Panie pryncypale, to jest wielkie świństwo, żebym ja nie dostał gratyfikacji!

— Słuchaj, Izydor, ty zawsze pamiętaj, że styl handlowy musi być dystyngowany!

— Więc jak ja mam powiedzieć?

— Ty powiesz tak: ja się bardzo dziwuję, że nazwisko moje zostało pominięte na liście gratyfikowanego personelu.

— A pan pryncypał, co na to odpowie?

— Ja się będę dziwił, że ty się dziwujesz.

Smacznego...

Gość: — Czemu ten pies tak się wpatruje w mój talerz?

Kelner: — Bo się panu podało na talerzu, w którym on zwykle dostaje jedzenie.

Dlatego

Interesant: — Pan dyrektor jest chyba przesądny, że obu kasjerów ma garbatych. Garbus podobno przynosi szczęście.

Dyrektor banku: — Ależ, nic podobnego, nie o to wcale chodzi; zależy mi jedynie na tem, aby nasi kasjerzy mieli wybitne znaki szczególne.

Emocjonujące

— Przyznam się panu, że przeżyłam wielkie emocje podczas drugiego aktu pańskiej sztuki.

— Pani mi pochlebia.

— Bynajmniej! Ale niech pan pomyśli, właśnie wtedy zginęła mi brylantowa kolja!

W restauracji

Gość: — Kelner! W zupie jest mucha!

Kelner (zdziwiony): — Patrzcie! — Myślałem, że wszystkie wyjąłem.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Kaycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Kaycki, Żnin.